MŚ w dżudo

Srebrna Angelika Szymańska

Ukazuje się od 1945 roku środa, 22 maja 2024 NR 99 (17909)

Sport



Fot. PAP/EPA

czytaj na str. 15

Marek Papszun: tu moje miejsce...

Raków z Papszunem

Marek Papszun będzie trenerem piłkarzy Rakowa Częstochowa. 49-letni szkoleniowiec pracował w tym klubie w latach 2016-23 i doprowadził zespół z 2. ligi do ekstraklasy oraz największych sukcesów - dwukrotnego zdobycia Pucharu Polski i mistrzostwa kraju.

czytaj na str. 4

Fot. Tomasz Kudala/PressFocus

Ruch Chorzów



Pożegnalny mecz „Fosy”

Fot. Press Focus

czytaj na str. 2

Liga Europy

Dziś finał Atalanta - Bayer



Fot. PAP/EPA

czytaj na str. 8

Ostatni mecz „Fosy”

Mecz z Cracovią będzie ostatnim w karierze kapitana Ruchu Chorzów, Tomasza Foszmańczyka.

RUCH CHORZÓW

Fani „Niebieskich” z pewnym niepokojem wyczekiwali informacji dotyczących przyszłości swojego kapitana. Kontrakt 38-letniego „Fosy” wygasa z końcem czerwca i zastanawiano się, jaka w jego sprawie będzie podjęta decyzja. Zamiar odejścia na emeryturę urodzonego w Bytomiu zawodnika nie był tajemnicą, dlatego liczono, że wszystko zostanie rozwiązane lepiej niż w przypadku Łukasza Janoszki, z którym pożegnano się po awansie do ekstraklasy w sposób budzący pewien niesmak. Dopiero przed lutowym spotkaniem z Legią na Stadionie Śląskim „Ecik” miał okazję powiedzieć „do widzenia” chorzowskim fanom.

Odejście symbolu

W przypadku Foszmańczyka sprawa została rozegrana o niebo lepiej. Ruch opublikował w sieci krótki filmik z „Fosą” w roli głównej, w którym sam zainteresowany poinformował, że po meczu z „Pasami” zawiesi buty na kołku. Spotkanie „o nic” stało się więc spotkaniem „o coś”, bo choć pod względem sportowym ofensywny pomocnik wyraźnie odstaje od reszty zespołu, o tyle jest postacią cieszącą się ogromnym szacunkiem. To lider drużyny w szatni i poza nią, a choć prawie w ogóle nie wyprowadza kolegów na boisko, to każdy wie komu należy się opaska. Kibice również darzą go wielką sympatią. Przyszedł do Ruchu, kiedy ten pikował w dół, jeszcze w II lidze. Spadł z nim do III ligi, ale został w Chorzowie mając jedno z największych nazwisk i mozolnie walczył o to, aby „Niebiescy” wrócili na szczyt. Z tego powodu mecz z Cracovią nawet w obecnej sytuacji drużyny, zaliczającej kolejny spadek, nabrał dodatkowego znaczenia. „Fosa” jest bowiem jednym z symboli odbudowy klubu w ostatnich latach.

Przyspawany do ławki

Przedłużenie kontraktu z Foszmańczykiem raczej mijało się z celem. To ważna postać pod względem marketingowym czy mentalnym, ale na boisku nie dawał odpowiedniej jakości. Widać to było już w trakcie poprzedniego pobytu Ruchu w I lidze, kiedy jako beniaminek awansował do ekstraklasy. W niej „Fosa” zagrał jak na razie 14 razy, tylko raz wychodząc w podstawowym składzie, w pamiętnym meczu w Mielcu, kiedy z powodu zatrucia wirusowego „Niebiescy” ledwo złożyli jedenastkę do gry. W sumie, nie licząc czasu doliczonego, 38-latek spędził w tym sezonie 215 minut na ligowych boiskach, ale gdyby nie spotkanie ze Stalą, byłoby tego znacznie mniej. Od pierwszej minuty zagrał też w jedynym meczu Ruchu w Pucharze Polski, gdzie chorzowianie skompromitowali się, ulegając rezerwom Legii 2:3. Kapitan strzelił wtedy gola na 1:1, skutecznie egzekwując rzut karny.

Numer 140

– Czuję dumę, że byłem częścią tej pięknej historii – mówił Tomasz Foszmańczyk. – Na zawsze zapamiętam te wszystkie chwile. Każde zwycięstwo, każdą zdobytą bramkę i trzy kolejne awanse, każdą fetę. Noszenie koszulki z „eRką” i zakładanie opaski było dla mnie zaszczytem, ale wszystko ma swój początek i koniec. Mecz z Cracovią będzie moim ostatnim w barwach Ruchu i ostatnim w karierze – powiedział.

W niebieskiej koszulce „Fosa” zagrał 139 spotkań. Z „Pasami” ma zacząć od pierwszej minuty i zaliczy numer 140. Przed przyjściem na Cichą pomocnik występował w Chojniczance Chojnice, wcześniej był GKS Katowice, Bruk-Bet Termalica Nieciecza, Korona Kielce, Warta Poznań, Ruch Radzionków, Raków Częstochowa, GKS Jastrzębie, Polonia Bytom i pierwszy raz Ruch, który opuścił jako 20-latek. Jego ekstraklasowy licznik stoi aktualnie na liczbie 55, znacznie więcej spotkań „Fosa” zaliczył na zapleczu, bo było ich ponad 200. Ci, którzy będą chcieli spotkań się z Tomaszem Foszmańczykiem, będą mieli ku temu okazję dzisiaj. Kapitan „Niebieskich” będzie od godz. 17 do 18 w sklepie „eRka” przy ulicy Jagiellońskiej 3 w Chorzowie.

Piotr Tubacki



Fot. Press Focus

38-letni ulubieniec kibiców w sobotę definitywnie pożegna się z „Niebieskimi”.



Fot. PressFocus

Portugalczyk Afonso Sousa nie pomoże Lechowi w ostatnim meczu tego sezonu z Koroną Kielce.

Sezon na straty

Piłkarze „Kolejorza” zawiedli nie tylko kibiców, ale również samych siebie.

LECH POZNAŃ

Jest już pewne jak amen w pacierzu, że „Kolejorz” kończący się sezon musi spisać na straty. W Pucharze Polski wiele nie zwojował, natomiast w rozgrywkach ligowych w najlepszym wypadku zajmie 4. miejsce. I nie pomoże zwycięstwo z Koroną Kielce oraz ewentualna porażka Legii Warszawa z Zagłębiem Lubin. Lechici mają bowiem gorszy bilans potyczek z drużyną z Łazienkowskiej (0:0 i 1:2), więc wszelkie kalkulacje są bezsensowne. Zespół z Bułgarskiej musi uważać, by nie przeskoczył go Górnik Zabrze, co może się stać w przypadku jego wygranej w Szczecinie i potknięcia Lecha z Koroną.

Pokazali charakter

Sytuacja byłaby znacznie ciekawsza i emocjonująca, gdyby „Kolejorz” wywalczył komplet punktów w Łodzi w potyczce z Widzewem. - Oba zespoły walczyły do końca o zwycięstwo - powiedział trener lechitów, Mariusz Rumak. - Chciałbym podziękować piłkarzom za to, że grali do końca o to, by odmienić losy tego spotkania. Otwieraliśmy się bardzo, co stwarzało Widzewowi możliwości kontrataków, a w momencie, kiedy przeszli na grę dwójką napastników, to było bardzo trudno utrzymać to stoperom. Moi piłkarze pokazali charakter. Cały czas borykamy się z mniejszymi i większymi dolegliwościami, kilku piłkarzy zgłaszało, że mogą nie wytrzymać do ostatniego gwizdka na boisku. Filip Marchwiński i Radek Murawski nie byli w stanie kontynuować meczu, dlatego musieli zejść. W doliczonym czasie gry tworzyliśmy sytuacje, które mogliśmy zamienić na gola i wyjechać zwycięsko z tego trudnego terenu. Chciałbym też podziękować sztabowi za to, że nie odpuszcza i cały czas jest dobrze przygotowany i działają w pełni profesjonalnie. Filip Szymczak wypada na ostatni mecz, mamy urazy, ale wszyscy dają z siebie ponad sto procent i za to chcę wszystkim podziękować.

Przykre doświadczenie

- Słyszałem po końcowym gwizdku sędziego głosy, że to było fajne widowisko i ludzie są zadowoleni - powiedział pomocnik Lecha, Radosław Murawski. - I fajnie, tylko my nie jesteśmy zadowoleni i szczęśliwi z końcowego wyniku. Doprowadziliśmy do momentu, w którym rozegraliśmy dobre spotkanie, w którym było sporo sytuacji podbramkowych. A koniec końców wróciliśmy do Poznania tylko z punktem, który nam nic nie daje. Dlatego ten sezon możemy skreślić, bo nic w nim nie osiągnęliśmy. Zagraliśmy fatalnie przez całe rozgrywki, a wynik w Łodzi to tylko kolejna składowa kryzysu. Nie ma co gadać za dużo, tego sezonu nie chcę jeszcze zamykać, zrobię to za tydzień. Trzeba skupić się na Koronie Kielce i wygrać w końcu w domu. Bo męczy mnie już to, że nie wygrywamy, że nie radzimy sobie z rywalami. To przykre doświadczenie, które trzeba wziąć na klatę i podnieść się.

Jasny cel

- Cel jaki mieliśmy na końcówkę sezonu, po utracie szans na mistrzostwo, był jasny - wejście do pierwszej trójki - stwierdził niepocieszony Bartosz Salamon. - Niestety, po remisie z Widzewem wiemy, że tego nie osiągniemy, więc to na pewno bardzo boli, bo przyjechaliśmy do Łodzi po zwycięstwo. Jest wielki zawód, bo mogliśmy pokonać Widzewa, ale nie zrobiliśmy tego. Teraz będzie czas refleksji dla całego klubu, bo w nowym sezonie to musi wyglądać zupełnie inaczej.

W kadrze na mecz z Widzewem nie było Afonso Sousy. Portugalczyk na treningu doznał urazu żeber i z tego powodu nie mógł być brany pod uwagę przy ustalaniu składu. - Wszystko wskazuje na to, że sezon się dla Afonso już się skończył - powiedział trener „Kolejorza”, Mariusz Rumak. 24-letni pomocnik przeszedł w poniedziałek badania, które nie wykazały złamania. Powrót do treningów i spotkań zależeć będzie od samopoczucia gracza.W Łodzi zeszli z z boiska Filip Marchwiński oraz Radosław Murawski. Sztab medyczny lechitów jest dobrej myśli i wygląda na to, że obaj będą gotowi na sobotni pojedynek z Koroną.

Bogdan Nather

Czech na pokładzie

Zabrzanie zakontraktowali nowego piłkarza. To czeski pomocnik Patrik Hellebrand.

GÓRNIK ZABRZE

W górniczym zespole w końcówce rozgrywek jest sporo kadrowych rzeczy do załatwienia. Aż 10 zawodnikom kończą się kontrakty, w tym kluczowym, jak Danielowi Bielicy czy kapitanowi drużyny Erikowi Janży. Tymczasem klub z Zabrza poinformował o zakontraktowaniu aż na 3 lata pomocnika Patrika Hellebranda. To 25-letni pomocnik, który ze swoim obecnym klubem SK Dynamo Czeskie Budziejowice walczy o pozostanie w Fortuna Liga.

Piłkarska rodzina

Hellebrand pochodzi z piłkarskiej rodziny. Jego ojciec Alesz grał w Baniku. Karierę przerwała kontuzja kolana. Z Opawy rodzina przeniosła się do Żlina. To tam Patrik jako nastolatek zadebiutował w seniorskiej piłce, żeby zimą 2020 roku przenieść się z 1. FC Slovacko Uherskie Hradiszte do Slavii Praga, z którą świętował mistrzostwo Czech. Potem były mniej liczące się kluby, a od trzech lat było Dynamo. W tym sezonie jego bilans w klubie z Czeskich Budziejowic to 36 ligowych i pucharowych meczów, dwa gole i trzy asysty. W sumie w Fortuna Liga ma rozegrane 134 mecze, w których zdobył 5 bramek i zanotował 7 asyst. Ma też występy w juniorskich i młodzieżowej reprezentacji swojego kraju.

- Wiele o nim nie powiem, bardziej znałem jego ojca niż jego samego - mówi nam Radim Sablik, były obrońca Odry Wodzisław i Dyskobolii Groclin Wielkopolski, który teraz odpowiada za szkolenie młodzieży w klubie z Vitkovic. - To wciąż młody piłkarz. Rodzina pochodzi z Opawy. Wypromował się przy ojcu, który po kontuzji został trenerem. Teraz występuje w zespole, który gra o utrzymanie. Kiedy był w lepszych klubach, to nie zawsze z kolei występował - tłumaczy Sablik.

Obserwowali go 3 lata

– Górnik to jeden z najbardziej utytułowanych klubów w Polsce z bogatą historią. Trafić do takiego klubu to coś - powiedział w rozmowie z klubowymi mediami Patrik Hellebrand. Jego pozycja na boisku, to jak tłumaczy „8”, ale w Dynamie często wracał do obrony. Jak ocenia możliwość gry z mistrzem świata z 2014 roku, Lukasem Podolskim? - To prawdziwe szaleństwo! Nie mogę w to uwierzyć. Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy. Dotychczas występowałem tylko w domu. Jestem teraz w Górniku i zrobię wszystko, żeby pomóc klubowi. Początek może być trudny, bo jak mówię, to dla mnie pierwszy raz poza ojczystym krajem, ale szybko się przestawię, nauczę języka - podkreśla piłkarz.

Górnik interesował się nim od 2021 roku, a ostatnio osobiście obserwował go trener Jan Urban. Ciekawe, jak Hellebrand poradzi sobie po drugiej stronie granicy?

Michał Zichlarz



Fot. gornikzabrze.pl

Patrik Hellebrand podpisał z Górnikiem kontrakt do 2027 roku.

CORAZ LICZNIEJSZA KOLONIA

■ Patrik Hellebrand jest piątym czeskim zawodnikiem, który zagra w klubie 14-krotnego mistrza Polski. Słowaków było w Górniku sporo, Czechów jak na lekarstwo, prawie tyle samo co graczy z dalekiej Japonii. Pierwszym Czechem był Marcel Liczka, syn słynnego trenera Wernera, byłego reprezentanta Czechosłowacji, który prowadził „górników” w 2004 roku, zanim przeniósł się do Wisły Kraków. Marcel w zabrzańskim klubie zagrał w 28 meczach, w których zdobył 5 goli (lata 2004-05). Potem byli bramkarz Michal Vaclavik i Alesz Beszta, ale obaj wiele w Górniku nie pograli. Ostatnim był David Ledecky.

PATRIK HELLEBRAND

Data urodzenia: 16 maja 1999 r.
Miejsce urodzenia: Opawa
Wzrost/waga: 180 cm/71 kg
Pozycja na boisku: pomocnik
Kariera: FC Żlin, 1. FK Slovacko Uherske Hradiszte, Slavia Praga, 1. FC Slovacko, SFC Opava, Dynamo Czeskie Budziejowice, Górnik Zabrze

Stare grzechy

Zespół trenera Jensa Gustafssona w tym sezonie zostanie z pustymi rękami.

POGOŃ SZCZECIN

Portowcy są jednymi z najbardziej przegranych mijającego sezonu. Przegrali finał Pucharu Polski z I-ligową Wisłą Kraków, a w rozgrywkach ekstraklasy też nie mają się czym pochwalić. W razie wygranej z Górnikiem Zabrze w najlepszym wypadku mogą wskoczyć na 4. miejsce, o ile Lech Poznań pokpi sprawę w potyczce z Koroną Kielce.

Zły na siebie

Sytuacja wyglądałaby korzystniej, gdyby granatowo-bordowi wygrali ostatni mecz w Mielcu ze Stalą. - Szkoda, że nie udało się wygrać, bo zasłużyliśmy na to - powiedział pomocnik „Dumy Pomorza”, Adrian Przyborek. - Kontrolowaliśmy mecz, stwarzaliśmy okazje i... powinniśmy jakąś bramkę strzelić, ale tego nie zrobiliśmy. Nic już nie możemy z tym zrobić. Wzięliśmy ten punkt i wróciliśmy do domu.

Pogoni nie pierwszy raz zabrakło skuteczności. - Miałem sytuację i jestem zły na siebie z tego powodu - powiedział 17-letni piłkarz. - Wiem, że powinienem zdobyć gola. Czasami tak się zdarza, że nie wszystko się układa. Myślę jednak, że ogólnie zagrałem dobry mecz. Szkoda tylko, że nie udało się zdobyć bramki i wygrać.

Teraz „portowców” czeka ostatni mecz sezonu. Pojedynek z Górnikiem Zabrze będzie dobrą okazją, aby podziękować kibicom za minione miesiące. - Potrzebujemy zwycięstwa, bo jak widać, po finale Pucharu Polski idzie nam nieco gorzej - stwierdził wychowanek klubu SAS Sianów. - To trudny moment, ale musimy stawić temu czoła. Musimy to przezwyciężyć. Kibice nie są teraz w najlepszych nastojach i to w pełni zrozumiałe. Jako zawodnicy musimy udźwignąć tę sytuację, wyjść na ten ostatni mecz i po prostu go wygrać.

Lekko wystraszeni

- Robiliśmy wszystko, aby osiągnąć korzystny wynik - powiedział o meczu ze Stalą Mielec szkoleniowiec Pogoni, Jens Gustafsson. - Zawodnicy zostawili serce na boisku. Owszem, zaczęliśmy kiepsko, przez pierwsze 20-30 minut graliśmy pasywnie, wyglądaliśmy na lekko wystraszonych, ale potem rośliśmy i graliśmy swój mecz. Stworzyliśmy na tyle dużo sytuacji, aby strzelić gola, lecz czasami tak bywa w futbolu, że czegoś brakuje, aby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Musimy to zaakceptować.

Od wtorku „portowcy” rozpoczęli przygotowania do sobotniego meczu z Górnikiem. Pierwsze zajęcia odbyły się na boisku numer 2. Raz dziennie granatowo-bordowi będą również trenować w środę, czwartek oraz piątek.


Fot. pogonszczecin.pl

Młody pomocnik Pogoni Adrian Przyborek (z lewej) był niepocieszony, ze w Mielcu nie strzelił gola.

Nowe fotele

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że prawie dwa lata od momentu otwarcia nowego stadionu im. Floriana Krygiera w Szczecinie, doczeka się on nowoczesnych ławek dla rezerwowych. Wcześniejsze przetargi nie przynosiły rozstrzygnięcia, ale ostatni już tak. Przetarg został ogłoszony na początku maja. Władze miejskie postanowiły przeznaczyć na tę inwestycję 320 tysięcy złotych. Koperty z czterema ofertami otwarte zostały w miniony piątek. Dwie z nich mieszczą się w kwocie zaplanowanej przez włodarzy Szczecina. Najniższą złożyła firma z Myślenic, która zaproponowała 268 tysięcy 140 złotych za usługę. Druga oferta złożona przez firmę ze Starogardu Gdańskiego opiewa na kwotę 318 tysięcy 570 złotych.

Urząd Miasta oceni teraz oferty i podpisze umowę z tą firmą, która ostatecznie wygra przetarg. Od momentu podpisania umowy firma będzie miała 45 dni na zrealizowanie zamówienia, którego przedmiotem jest przygotowanie dwóch dużych wiat na 24 osoby oraz dwóch mniejszych dla sędziego technicznego i medyków. Zamówienie opiewa na zamontowanie 60 granatowo-bordowych foteli.

Bogdan Nather

Papszun znów pod Jasną Górę

Oficjalnie potwierdzono to, co krążyło w mediach od tygodni. Marek Papszun wraca do Rakowa Częstochowa.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA



Fot. Mateusz Sobczak/PressFocus

Marek Papszun (z lewej) zawsze mógł cieszyć się zaufaniem Michała Świerczewskiego.

Informację we wtorkowy poranek przekazano na oficjalnej stronie klubu. „Marek Papszun wraca do Rakowa Częstochowa i wraz z początkiem nowego sezonu przejmie funkcję pierwszego trenera. Kontrakt będzie obowiązywał przez najbliższe dwa lata, z możliwością odejścia w ściśle określonych sytuacjach" – tak brzmiał komunikat. Kibice dostali więc to, na co liczyli. Pod Jasną Górę powróci trener, który poprowadził drużynę do największych sukcesów w historii. Z „medalikami" zdobył mistrzostwo Polski oraz dwukrotnie Puchar i Superpuchar Polski. Rozłąka szkoleniowca z Rakowem trwała rok. W poprzednim sezonie, gdy już był prawie pewien mistrzostwa, ogłosił swoje odejście. Sądzono, że Papszun szybko znajdzie nowego pracodawcę. Przez ostatnie miesiące wielokrotnie pojawiały się informacje o zainteresowaniu usługami trenera poza granicami Polski. Finalnie trener pracy nie znalazł, więc wrócił na doskonale znany sobie teren, do Częstochowy, do projektu, z którym był związany od początku.

Prowadził do sukcesów

Podpisanie kontraktu z Markiem Papszunem oczywiście wiąże się z tym, że celów założonych przez klub nie zrealizował Dawid Szwarga. Były asystent Papszuna miał być jego naturalnym następcą. Miał być przedłużeniem myśli szkoleniowej, która przez lata przynosiła sukcesy i powodowała ciągły wzrost formy częstochowian. Finalnie skończyło się na tym, że Szwarga swojemu zadaniu nie podołał. W europejskich pucharach odpadł z eliminacji do Ligi Mistrzów i skończył grę w Lidze Europy na etapie fazy grupowej. Przygodę z Pucharem Polski zakończył na ćwierćfinale, przegrywając 0:3 z Piastem Gliwice. Gdy Raków mógł w końcu skupić się na grze w lidze, wydawało się, że będzie w stanie walczyć o najwyższe cele. Tak się jednak nie stało, a od ostatniego weekendu, podczas którego podopieczni trenera Szwargi przegrali z Cracovią, jasne stało się, że sezonu nie da się uratować. Częstochowianie stracili szansę na to, żeby znaleźć się na podium. To oznacza, że w przyszłym sezonie nie zobaczymy ich na arenie międzynarodowej.

Zmiana decyzji

Jeszcze w kwietniu, po serii niezadowalających wyników, właściciel Rakowa Michał Świerczewski poinformował przez swoje media społecznościowe, że wciąż ufa trenerowi Szwardze. „Poinformowaliśmy wszystkich, że dalej będziemy inwestować w rozwój Dawida Szwargi jako pierwszego trenera. Przekazaliśmy również, że winę za sytuację, w której się znaleźliśmy, ponosi nie tylko sztab i zarząd, ale również piłkarze i oczekujemy od wszystkich 100 procent zaangażowania w jej naprawę" – przekazał szef klubu. Jak widać zdanie zmienił, bo w grze Rakowa nie widać było poprawy. Z pewnością w podjęciu decyzji o zakończeniu współpracy z 33-latkiem pomogła chęć powrotu do Częstochowy trenera Papszuna.

Marek Papszun ma być lekarstwem dla Rakowa. Ma powrócić do dobrych czasów, gdy wszystko, czego tylko dotknął, zamieniał w złoto. Największe sukcesy klubu są związane z jego nazwiskiem. Zadanie z pewnością nie będzie proste. Gdy w 2016 roku został wybrany szkoleniowcem zespołu spod Jasnej Góry, mógł go budować od podstaw, zaczynając grę w II lidze. Teraz będzie działać na żywym organizmie, który zmienił się od poprzedniego sezonu, a być może ulegnie jeszcze większej modyfikacji podczas najbliższego okna transferowego.

Czy znajdzie antidotum?

Problemy zespołu starał się na bieżąco diagnozować Dawid Szwarga, który w profesjonalny sposób opowiadał o tym, dlaczego jego drużyna nie spełnia oczekiwań. Nawet po ostatniej porażce w Krakowie zaznaczył, że problem Rakowa jest wielowarstwowy i czynnikiem słabej gry jest nie tylko gorsza dyspozycja jednej formacji.

- To był kolejny mecz w tej rundzie, w którym w ataku pozycyjnym, gdy przeciwnik broni bardzo nisko, nie jesteśmy powtarzalni. Nawet jeżeli kreujemy sytuacje i mamy momenty, gdy jesteśmy w polu karnym, brakuje nam skuteczności. Jeśli mamy stałe fragmenty, nie mamy z nich korzyści – wypowiedział się trener o grze w ataku swoich podopiecznych, a przy okazji dodał także kilka zdań o postawie zespołu w zadaniach defensywnych. - Najbardziej boli mnie po tym meczu sposób, w który straciliśmy gole. Pierwsza bramka padła po zagraniu w przestrzeń, przebitce Ghity, za linię obrony. Stoperzy przegrali dwa pojedynki w dość prosty sposób i jedna piłka prostopadła wystarczyła do tego, żeby strzelić nam bramkę. Drugi gol podobny. Ben (Lederman – red.) traci piłkę, bo trudno to nazwać odbiorem Cracovii. Zagrał piłkę w nogi naszego zawodnika. Z tego kreuje się faza przejściowa, która jeszcze nie jest bramką. Można bronić takie sytuacje, tylko trzeba lepiej się zachować indywidualnie. To, że Cracovia będzie wyprowadzać kontry, było jasne i klarowne. Trzeba było się przed nimi obronić. My tego nie zrobiliśmy – zauważył.

Jednak diagnoza problemów to jedno, znalezienie ich rozwiązania jest o wiele trudniejszym zadaniem. Szwarga nie musi już się o to martwić, bo teraz odpowiedzialność spocznie na barkach Papszuna.

Kacper Janoszka

Blisko i daleko

By sięgnąć po mistrzowską koronę drużyna trenera Jacka Magiery musi spełnić dwa warunki - wygrać z Rakowem i liczyć na potknięcie Jagiellonii z Wartą.

ŚLĄSK WROCŁAW

Po raz ostatni (drugi raz w historii) wrocławianie fetowali zdobycie tytułu mistrza Polski w sezonie 2011/12. Teraz są o krok od skopiowania wyczynu zespołu, którego szkoleniowcem był wówczas legendarny już trener Orest Lenczyk.

Smak pucharów

Trener wrocławian Jacek Magiera był zadowolony po ostatnim meczu z Radomiakiem, który zagwarantował jego drużynie co najmniej tytuł wicemistrza Polski. - Cieszymy się z tego zwycięstwa, bo było ono jak najbardziej zasłużone - powiedział popularny „Magic". - Mecz wyglądał tak, jak się tego spodziewaliśmy, w planowany sposób zdobywaliśmy istotne dla nas przestrzenie na boisku. W moim przekonaniu środkowa linia zagrała dobrze. Olsen mógł mieć dwie dogodne sytuacje, ale zabrakło mu nieco szybkości. Wyzwaniem dla nas były stały fragmenty gry Radomiaka, szczególnie auty, ale bardzo dobrze się wybroniliśmy. Przy obronie dośrodkowań również spisaliśmy się bez zarzutu. Kilka razy brakowało nam dokładności przy kontratakach, ale najważniejsze, że wygraliśmy. Bramka Nahuela będzie pamiętana latami, gol Macenki też warty odnotowania. Przebił chyba swój strzał z meczu z Wisłą Płock w ubiegłym sezonie. Za kilka dni będziemy wiedzieć, czy jesteśmy mistrzem, czy wicemistrzem. Awans do europejskich pucharów smakuje świetnie, ale nie chcę jeszcze o tym mówić, bo sezon trwa, mamy cel do zrealizowania. Teraz trzeba się przygotować do meczu z Rakowem w Częstochowie.

- Pracujemy rok nad tą drużyną, na wielu płaszczyznach. Siłę charakteru pokazuje się w takich momentach jak z Radomiakiem, przy pełnym stadionie, kiedy presja jest duża. Jest to piękny moment dla wszystkich: kibiców, piłkarzy, działaczy, dla wszystkich sympatyzujących ze Śląskiem. Coś niesamowitego działo się na tym stadionie w tym sezonie. Tych pozytywów jest mnóstwo i chcę za to podziękować wszystkim ludziom, którzy przygotowywali ten stadion przez cały sezon.

To nie koniec

- Bycie przynajmniej wicemistrzem Polski to niesamowite uczucie, niesamowite emocje – przyznał pomocnik Śląska, Peter Pokorny. - Ale to jeszcze nie koniec, damy z siebie wszystko w Częstochowie i zobaczymy, co nam to da. Oczywiście chcemy tam zdobyć 3 punkty i zobaczymy, jak to się ułoży przy wyniku Jagiellonii, ale tak czy siak jest to niesamowite uczucie. Jestem dumny z tej drużyny, z każdego w tym klubie. To jest dla nas niebywały sezon. Dołożymy wszelkich starań, aby wygrać to mistrzostwo, jeśli tylko pojawi się na to szansa. Z Radomiakiem nie czułem się tak dobrze, jak w meczach przeciwko Pogoni, czy z Cracovią. Zawsze jednak staram się dawać z siebie to, co najlepsze i pomóc mojej drużynie. Dla mnie zawsze najważniejsza jest wygrana. Został nam ostatni mecz, swoisty „last dance". Dla naszych niesamowitych fanów również był to niesamowity sezon. Bez nich z pewnością nie bylibyśmy w stanie być teraz w tym miejscu. Jesteśmy im za to wdzięczni, a przed nami wciąż jeszcze mnóstwo pracy w nadchodzących latach. Będziemy potrzebować od nich takiego samego wsparcia jak w tym sezonie, a może nawet większego.



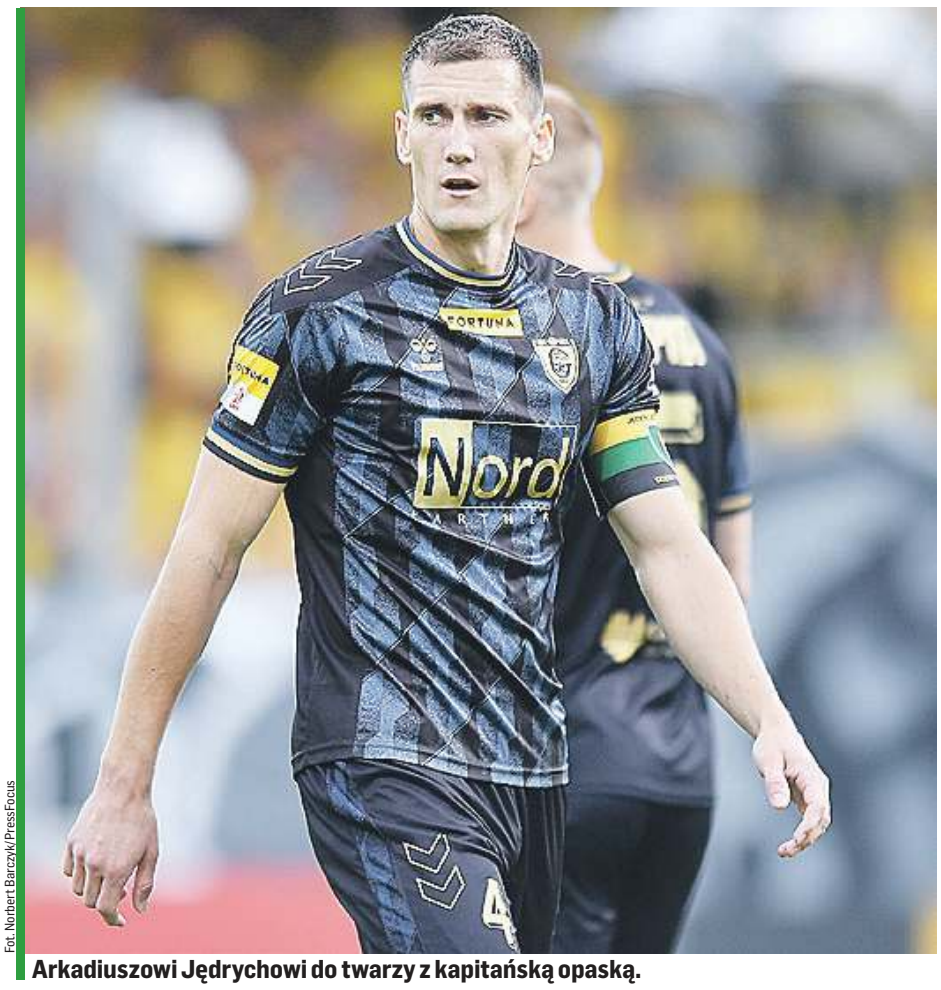
Fot. Paweł Andrachiewicz/PressFocus

Pomocnik Śląska Peter Pokorny (przy piłce) jest przekonany, ze jego drużyna nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Wyjątkowe uczucie

- Jestem szczęśliwy, że znów pomogłem drużynie - powiedział pomocnik Piotr Samiec-Talar. - Spisaliśmy się dobrze i wspaniale, że wygraliśmy mecz przy takiej publiczności. Sezon się jeszcze nie skończył i gramy o najwyższe cele. Zrobiliśmy już dużo, ale nie wszystko. Mamy pewne 2. miejsce, ale patrzymy w kierunku tego, co nas najbardziej interesuje. Przy golu na 1:0 był duży kąt. „Szwaniu" znakomicie dośrodkował, widziałem Jehora na drugim słupku. Mogłem próbować strzelać, ale byłem pewny, że jak dogram, to Jehor zamieni podanie na bramkę. To wyjątkowe uczucie wygrywać przy tylu widzach, ale już tego doświadczyliśmy podczas meczu z Rakowem. Dla takich chwil gra się w piłkę i żyje.

Bogdan Nather



Fot. Norbert Barczyk/PressFocus

Arkadiuszowi Jędrychowi do twarzy z kapitańską opaską.

Po prostu kapitan

Arkadiusz Jędrych nie tylko strzela bramki, ale przede wszystkim jest liderem swojego zespołu.

GKS KATOWICE

Ostatnie spotkanie z Wisłą Kraków było majstersztykiem w wykonaniu katowiczan. Nie uchronili się przed utratą dwóch bramek, ale nie miało to dużego znaczenia w momencie, gdy sami pięć razy zmusili Antona Cziczkana do wyciągnięcia piłki z siatki. GieKSa zaprezentowała świetny futbol, który przede wszystkim musi budzić grozę w szeregach Arki. To właśnie ekipa z Gdyni będzie ostatnim rywalem drużyny Rafała Góraka w zasadniczym sezonie I ligi. Wynik tego spotkania zadecyduje, która z nich awansuje do ekstraklasy, a która będzie musiała walczyć w barażach. Możliwe są – jak to zwykle w meczach piłkarskich bywa – trzy scenariusze. W pierwszym przypadku GKS wygrywa i bezpośrednio awansuje do ekstraklasy. W drugim wygrywa Arka i to ona będzie mogła świętować. Trzecią opcją będzie remis, który również premiuje gdynian.

Obrany kierunek

GKS ostatnimi wynikami zademonstrował, że jest pewny siebie i gotowy na walkę. Jest świadomy swoich możliwości. Potrafi podnieść się w trudnych momentach i rzutem na taśmę wywalczyć trzy punkty. Przy okazji jest bezlitosny, gdy rywale popełnią błąd. Swój charakter piłkarze z Górnego Śląska pokazali w miniony weekend. W teorii ich droga po 3 punkty mogła wydawać się prosta, bo Wisła szybko musiała grać w dziesięciu. Mimo wszystko pierwsza zdobyła gola, który mógł wzbudzić zwątpienie w szeregach katowiczan. W takich momentach potrzebny jest kapitan, osoba, która wskaże kierunek, w którym zespół powinien podążać. Ze swojej roli – jak praktycznie przez cały sezon – świetnie wywiązał się Arkadiusz Jędrych, który po straconej bramce szybko wpisał się na listę strzelców. - Gdy tracimy bramkę, mam w sobie chęć odbicia się. Tym bardziej, że czuliśmy na boisku, że Wisła do momentu strzelonego gola nam nie zagrażała. Wiedzieliśmy, że jeśli będziemy grali konsekwentnie, prędzej czy później bramka przyjdzie. I tak było, bo strzeliliśmy dwa gole do przerwy. Później sędzia w pierwszej połowie nie uznał kolejnego trafienia – stwierdził po spotkaniu stoper GKS-u.

Strzelec wyborowy

Jędrych jest ostoją linii defensywnej, ale przede wszystkim kapitanem. Wielokrotnie w trudnych momentach podnosił zespół na duchu. Potrafi też wziąć na siebie odpowiedzialność, bo to on wykonuje rzuty karne. Jest liderem, którego potrzebuje każdy zespół. A przy tym jest niezwykle skuteczny nie tylko w obronie, ale także w ataku, bo ma już strzelonych 12 bramek. – Liczba strzelonych bramek oddaje to, jakim jest kapitanem. Jest ogromną wartością w naszej szatni. To ułożony, dojrzały mężczyzna i to jest bardzo istotne. Kapitan z prawdziwego zdarzenia – opisał swojego podopiecznego Rafał Górak.

Liczy się cel

Defensor od początku sezonu zachowuje spokój. Zawsze jest stonowany, rzadko okazuje emocje. Widać, że przede wszystkim jest skupiony na misji. GieKSa jest o krok od wywalczenia awansu do elity. 31-latek wie jednak, że nie można już teraz myśleć o świętowaniu, bo przed katowiczanami wciąż jest praca do wykonania. - Nie ma co wariować. Przyda nam się trochę lodu na głowę. Skupiamy się na meczu z Arką, a nie na awansie, choć oczywiście myśl o nim musi tkwić w naszych głowach – zaznaczył Jędrych. Jego zdolności przywódcze i spokój mogą okazać się kluczowew najważniejszym momencie sezonu. Czy to właśnie jego postać zadecyduje o tym, że GieKSa powróci do ekstraklasy?

Kacper Janoszka

O honorowe pożegnanie

Piłkarze „Miedzianki" w ostatnim meczu sezonu chcą pokonać świętującą powrót do ekstraklasy Lechię Gdańsk.

MIEDŹ LEGNICA

Na kolejkę przez zakończeniem zmagań w Fortuna 1. Lidze Miedź Legnica zajmuje w tabeli dopiero 10. miejsce i nie ma żadnych szans, by zakwalifikować się do baraży o ekstraklasę. Podopieczni trenera Ireneusza Mamrota robią jednak wszystko, by godnie zakończyć sezon i pozostawić po sobie dobre wrażenie.

Notoryczna koncentracja

Po ostatniej wiktorii w Sosnowcu z Zagłębiem trener zielono-niebiesko-czerwonych, Ireneusz Mamrot, był zadowolony z postawy swojej drużyny. Konferencję prasową rozpoczął jednak od pochwał pod adresem pokonanych. - Przede wszystkim myślę, że gra i miejsce w tabeli Zagłębia Sosnowiec nie oddaje tego, jak ten zespół się prezentuje – powiedział niespełna 54-letni szkoleniowiec. - Od momentu przyjścia trenera Saganowskiego gra dużo lepiej i jego praca jest widoczna. Cieszymy się z trzech punktów, uważam, że przeciwko Zagłębiu zagraliśmy solidne spotkanie. Mam do zespołu pretensje tylko o dwie rzeczy. Jeżeli chodzi o realizację założeń taktycznych wszystko było na poziomie, jaki sobie nakreśliliśmy, natomiast powinniśmy strzelić bramkę wcześniej, bo były ku temu sytuacje. Mogliśmy sobie po prostu ten mecz „ułożyć", bo później był nasz niewymuszony błąd, rzut karny i w efekcie był remis 1:1. Z tego nie jestem zadowolony, bo wymagam od każdego zawodnika koncentracji przez cały czas. To co martwi, to urazy Kamila Antonika i Damiana Michalika. Odkąd przyszedłem do klubu, to prawdziwa plaga, z tym problemem borykamy się cały czas. Wiem, że to mógłby powiedzieć każdy trener, ale gdyby nie te poważne kontuzje, dzisiaj mielibyśmy więcej punktów i bylibyśmy w grze o baraże. Mogę tylko żałować, że tak nie jest. Musimy myśleć już o następnym sezonie, ale cieszę się, że zespół krok po kroku idzie do przodu. To, co chcę wdrożyć, jeżeli chodzi o sposób gry, zaczyna nieźle funkcjonować, aczkolwiek wiadomo, że może być jeszcze lepiej.

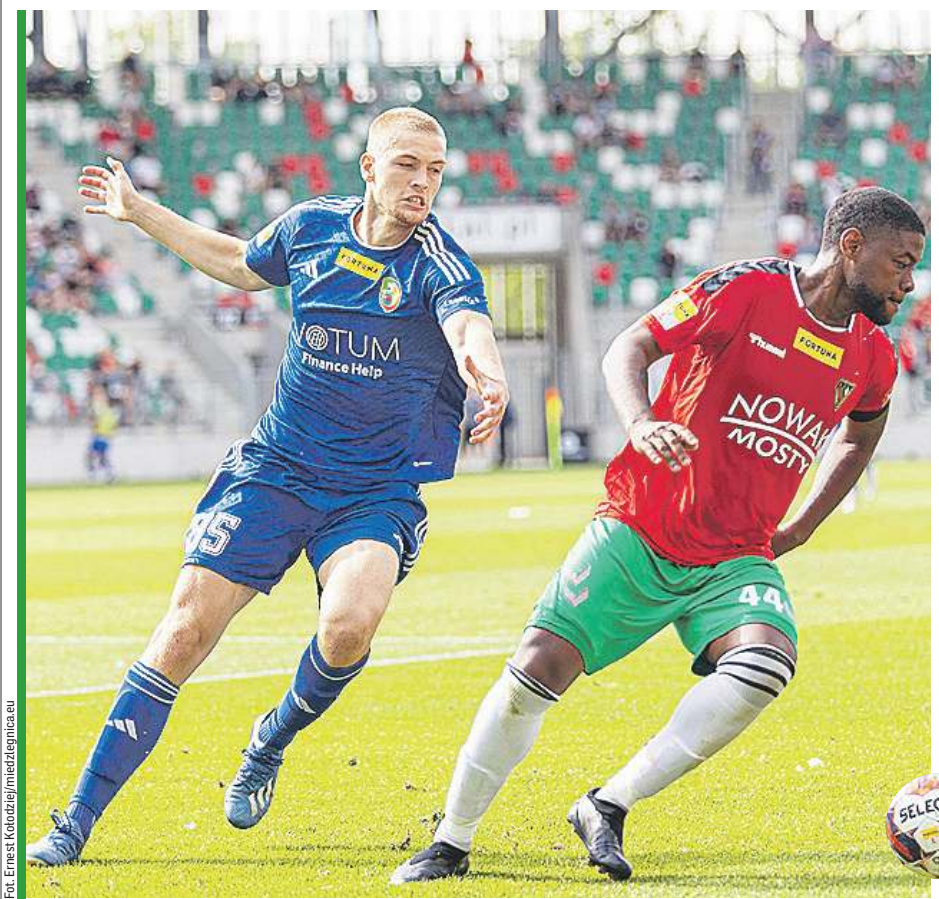
Strzelił, to ma...

Niespełna 23-letni napastnik Marcel Mansfeld przyszedł do Miedzi z Fortuny Duesseldorf 1895. W bieżącym sezonie mierzący 194 centymetry napastnik zdobył dla drużyny znad Kaczawy 9 goli w 22 meczach na zapleczu ekstraklasy. Po zwycięskiej batalii z Zagłębiem Sosnowiec został niejako „wywołany do tablicy", ponieważ wpisał się na listę zdobywców bramek i zapewnił swojej drużynie trzy punkty. - To wina Michała Kostki - śmiał się wychowanek 1. FSV Mainz 05. - Po prostu przed meczem ustaliłem z nim, że jeżeli strzelę gola, będę musiał udzielić wywiadu i to po polsku. Udało mi się tego dokonać i musiałem wywiązać się z tego „obowiązku". Co zaś tyczy się samego meczu - cieszę się, że po kontuzji, z którą zmagałem się kilka tygodni, nie ma już śladu i powoli wracam do normalnej dyspozycji, czego dowodem są kolejne strzelone przeze mnie gole. Początkowo, w pierwszych meczach, nie miałem zbyt wiele sił, ale potem było coraz lepiej. Bardzo się z tego cieszę i oby tak dalej. Naszym ostatnim przeciwnikiem będzie Lechia Gdańsk, pewna już awansu do ekstraklasy. Chcemy wygrać ten mecz, dać naszym kibicom trochę radości i zakończyć sezon zwycięstwem.

Długa lista nieobecnych

Przed ostatnim meczem z Lechią Gdańsk trenerowi legniczan bynajmniej nie ubyło problemów. Od dłuższego czasu kontuzjowani są Bartosz Guzdek i Damian Tront, nie wiadomo czy do niedzieli zdążą wykurować się Kamil Antonik i Damian Michalik. Trener Ireneusz Mamrot przy ustalaniu składu nie będzie teżmógł uwzględnić Kamila Drygasa, który w Sosnowcu po raz czwarty w tym sezonie został upomniany żółtą kartką i musi pauzować w jednym spotkaniu.

Bogdan Nather



Fot. Ernest Kołodziej/miedzlegnica.eu

Niemiecki napastnik Marcel Mansfeld (z lewej) zapewnił „Miedziance" komplet punktów w Sosnowcu.

Musi być awans

Przez swoje błędy Arka Gdynia wciąż nie jest pewna awansu do ekstraklasy.

ARKA GDYNIA

Arka miała awans wystawiony „na tacy”. W niedzielny wieczór podczas derbów Pomorza musiała tylko zremisować z Lechią Gdańsk. Zaledwie punkt gwarantował gdynianom promocję do wyższej klasy rozgrywkowej. Okazja była doskonała, bo choć podopieczni Szymona Grabowskiego pierwsi strzelili gola, to równie szybko musieli radzić sobie w osłabieniu po czerwonej kartce. Dlatego drużyna Wojciecha Łobodzińskiego ruszyła do ataku, dzięki czemu przed przerwą doprowadziła do wyrównania. Cel był więc niezwykle blisko osiągnięcia. Arka mogła przez cały mecz bronić dostępu do własnej bramki, a i tak zostałaby nagrodzona awansem. Plan ten się nie powiódł, bo goście niedzielnego starcia byli nieskuteczni w ataku, a sami nie byli w stanie powstrzymać Lechii przed strzeleniem zwycięskiego gola.

Szokujące widowisko

Mecz miał potoczyć się zupełnie inaczej. Mówił o tym trener Łobodziński, który wierzył w to, że jego drużyna zdoła w drugiej połowie dobić przeciwników. Co więcej, Arka miała mnóstwo okazji do tego, żeby pokonać Bogdana Sarnawskiego. Wiele razy stawała oko w oko z golkiperem, ale za każdym razem górą był Ukrainiec.

- Plan na drugą połowę był taki, żeby strzelać kolejne bramki. Nawet nie wiem, jak to wytłumaczyć, bo mieliśmy 4 sytuacje stuprocentowe, sam na sam. Jeżeli nie wykorzystuje się takich okazji, trudno wygrać. Wystarczyło jedno niefrasobliwe zachowanie w defensywie i przegraliśmy – stwierdził mocno poirytowany szkoleniowiec.

Emocjom trenera trudno się dziwić. Na pewno nie tylko on ma w sobie poczucie utraconej okazji na zapewnienie awansu. Z pewnością na słowa trenera po meczu miały wpływ okoliczności porażki. W ostatniej akcji spotkania w polu karnym upadł Przemysław Stolc. Początkowo sędzia Tomasz Kwiatkowski pokazał zawodnikowi żółtą kartkę za próbę wymuszenia „11”. Arbiter został jednak przywołany przez asystentów w wozie VAR do monitora, aby sam ocenił sytuację. Powtórki wykazały, że Stolc został kopnięty przez Tomasza Bobczka. Mimo wszystko arbiter podtrzymał decyzję o tym, że Arce karny się nie należy. - Dowiedzieliśmy się od sędziego tylko tyle, że Przemek zanim upadł, postawił jeszcze krok. Ale przecież musiał postawić nogę! Na to nie mamy wpływu, ale to był ewidentny rzut karny – powiedział Łobodziński.

Będą podłamani?

Po meczu w tak dramatycznych okolicznościach wyzwaniem z całą pewnością będzie podniesienie drużyny na duchu. - Ten mecz był ciosem. Było to spotkanie, w którym mieliśmy wszystko, żeby wygrać, nie mówiąc o remisie – zaznaczył trener. Dlatego gdynianie już od momentu zakończenia spotkania w Gdańsku musieli zacząć myśleć o najbliższej rywalizacji. Starcie z GKS-em Katowice będzie najprawdopodobniej najważniejszym w sezonie. To od niego zależeć będzie to, czy Arka wywalczy bezpośredni awans, czy drużyna Rafała Góraka. Różnica pomiędzy tymi dwoma zespołami polega przede wszystkim na mentalności. Katowiczanie przyjadą na Pomorze w doskonałych humorach, po serii bardzo dobrych meczów. Natomiast gospodarze mogą czuć załamanie spowodowane trudnym i przegranym spotkaniem z Lechią.

- Zdajemy sobie sprawę z sytuacji, w jakiej jesteśmy. Wszystko jest w naszych rękach i nogach. Moją rolą jest, żeby przygotować zespół do następnego meczu. Piłkarze muszą nauczyć się przegrywać, przełknąć porażkę i muszą wziąć za nią odpowiedzialność. Jako dorośli mężczyźni muszą wziąć odpowiedzialność za to, co robią na murawie – grzmiał Wojciech Łobodziński.

Patrząc na najbliższy mecz z perspektywy całego sezonu, to na Arce jest większa presja. To ona mogła wykorzystać wiosenne potknięcia GieKSy (brak wygranej z Odrą, Bruk-Betem i Górnikiem). Tym samym wcześniej zapewnić sobie awans. Przez swoje błędy musi jednak toczyć bój o ekstraklasę do ostatniej minuty sezonu zasadniczego. - Nawarzyliśmy sobie piwa sami. Musimy się odbić w następnym meczu. Po prostu musimy – zaznaczył trener gdynian.

Kacper Janoszka



Fot. Piotr Matusewicz/PressFocus

Po wyniszczającym derbowym starciu Arka wciąż musi walczyć.



Fot. Mateusz Sobczak/PressFocus

Kapitan Odry Mateusz Kamiński strzelił gola w meczu z Polonią, ale miał też udział w bramce strzelonej przez stołeczną jedenastkę.

Żal do siebie

Gol stracony w doliczonym czasie gry w Warszawie bardzo boli podopiecznych trenera Adama Noconia.

ODRA OPOLE

Po bramce zdobytej w 65 sekundzie gry w wyjazdowym meczu z Polonią Warszawa wydawało się, że Odra Opole jest na dobrej drodze, żeby w ostatniej kolejce I-ligowych rozgrywek mieć duże szanse na miejsce w strefie barażowej. W dodatku po golu kapitana Mateusza Kamińskiego, który efektowną główką sfinalizował akcję po wrzutce Tomasza Mikinicza, drużyna Adama Noconia oraz dowodzącego tym razem z ławki asystenta Tomasza Copika miała kolejne okazje na gole. Najlepszą wypracował sobie solowym rajdem Jakub Antczak, ale przegrał pojedynek z bramkarzem w 29 minucie, a Borja Galan minimalnie spudłował, uderzając w 83 minucie z 16 metrów. I to się zemściło w pierwszych sekundach doliczonego czasu gry. Mateusz Kamiński nie zatrzymał przeciwnika, a ponieważ Piotr Żemło „złamał” linię spalonego strzał z bliska okazał się dla Artura Halucha nie do zatrzymania i odebrał opolanom dwa ważne punkty!

Nieszczęsna 90 minuta

- Ciężko pozbierać myśli po takim meczu - stwierdził Tomasz Copik. - Pierwsza połowa była pod naszą kontrolą, po przerwie przeżywaliśmy ciężkie chwile, ale wychodziliśmy z tego obronną ręką. Polonia była częściej przy piłce i zepchnęła nas do obrony, ale sytuacji stuprocentowych sobie nie stwarzała. Myśmy się dobrze i mądrze bronili, ale przyszła ta nieszczęsna 90 minuta z sekundami. Po przegranej walce w powietrzu piłka spadła na nogę zawodnika Polonii i skończył się remisem.

Po 33. kolejkach Odra z dorobkiem 50 punktów zajmuje 8. miejsce w tabeli ze stratą jednego punktu do „szóstki”. Z jednej strony dla drużyny, która rok temu zakończyła sezon mając 37 punktów, plasującej się na 15. pozycji w tabeli, mógłby to być sukces, gdyby nie fakt, że opolanie mocno rozbudzili apetyty swoich kibiców. W rundzie jesiennej przez długi czas byli na pozycji lidera, a w dodatku niebiesko-czerwoni udowodnili w meczach z drużynami z czołówki, o czym świadczy choćby ich bilans w spotkaniach z GKS-em Katowice i Arką Gdynia, że potrafią wygrywać z zespołami uważanymi za kandydatów do awansu. Dlatego w barażach mogliby być „czarnym koniem”.

Szkoda całego roku

- Szanse na miejsce w strefie barażowej dalej mamy – podkreślił szkoleniowiec opolan. – Kwestia jednak jest taka, że to już nie jest zależne tylko od nas. Gdybyśmy wygrali w Warszawie, to patrzylibyśmy tylko na siebie. Niestety, teraz oprócz naszego zwycięstwa ze Zniczem Pruszków w ostatniej kolejce, bo to jest dla nas najważniejsze, jeszcze inne wyniki muszą się poukładać „pod nas”, a na to już nie będziemy mieć żadnego wpływu. Szkoda więc nie tylko tego meczu z Polonią, ale także praktycznie szkoda całego roku, bo zawodnicy naprawdę mocno pracowali cały sezon, a ten stracony gol w Warszawie mocno nam skomplikował sytuację. Cóż, pozostał tylko żal do siebie, że nie dociągnęliśmy tego zwycięstwa do końca.

Jerzy Dusik

Powrót przez Styks

Juventus dokonał – jak się wydawało – niemożliwego i odrobił trzybramkową stratę.



Fot. PAP/EPA

Po tym uderzeniu Arkadiusz Milik dał swojej drużynie siłę do walki o punkty.

WŁOCHY

Poniedziałkowe spotkanie Bologny z Juventusem niewątpliwie było hitem kolejki we Włoszech. W końcu zmierzyły się drużyny, które zajmują 3. i 4. miejsce i miały taką samą ilość punktów. Turyńczycy pojawili się w regionie Emilia-Romania świeżo po zdobyciu Pucharu Włoch. Ponadto przybyli z nowym szkoleniowcem na pokładzie. Na ostatniej prostej zwolniony został Massimiliano Allegri, którego do końca sezonu zastępuje Paolo Montero.

Dominacja gospodarzy

Urugwajski trener mógł być w szoku, gdy zobaczył, jak jego podopieczni grali w pierwszej połowie. Ich fatalna postawa w defensywie spowodowała, że gospodarze przed przerwą wyszli na dwubramkowe prowadzenie. Przy obu bramkach palce maczał Kacper Urbański. 19-latek w drugim meczu z rzędu znalazł się w wyjściowej jedenastce i był wyróżniającym się graczem. Po zmianie stron niewiele się zmieniło. Łukasz Skorupski w bramce Bologny nie miał wiele pracy. Co więcej, jego drużyna podwyższyła prowadzenie, po raz trzeci pokonując Wojciecha Szczęsnego. Wtedy trener Montero wprowadził na murawę dwóch piłkarzy, którzy odmienili losy spotkania. Mowa o Arkadiuszu Miliku oraz Kenanie Yldizie.

Polski bohater

Zanim ten duet wpisał się na listę strzelców, gola zdobył niezawodny Federico Chiesa. Włoch dał sygnał do ataku. Chwilę później, w 83 minucie do wykonania rzutu wolnego podszedł Milik. Uderzył mocno, piłka otarła się o głowę jednego z zawodników ustawionych w murze i wpadła do siatki. To było czwarte ligowe trafienie w sezonie 72-krotnego reprezentanta Polski. Tyle samo goli zdobył także w Pucharze Włoch. Ledwie minutę po trafieniu Milika Yildiz znalazł się w dogodnej sytuacji i po raz trzeci pokonał Skorupskiego, wprawiając debiutującego szkoleniowca w szał radości. – Dołączyłem do drużyny, która ma w sobie dobrego ducha. Jego odzwierciedleniem jest dla mnie ostatnie pół godziny meczu – stwierdził po zakończeniu spotkania Paolo Montero. Uratowany remis oczywiście może cieszyć fanów Juventusu. Warto jednak zaznaczyć, że było to 6. ligowe spotkanie z rzędu „Starej damy", które zakończyło się podziałem punktów.

W niedzielnym starciu na boisko powrócił Nicolo Fagioli. Włoch w październiku został zawieszony przez sąd sportowy za obstawianie meczów w nielegalnych zakładach bukmacherskich. Kara zawieszenia się zakończyła, więc trener Montero od razu postanowił skorzystać z usług 23-latka, wprowadzając go na boisko w 71 minucie.

W drugim poniedziałkowym meczu Hellas Werona wygrał z ostatnią w tabeli Salernitaną. Dzięki zdobyciu 3 punktów zespół Pawła Dawidowicza oraz Karola Świderskiego zagwarantował sobie utrzymanie w lidze przed ostatnią kolejką. Teraz piłkarze Marco Baroniego mogą spokojnie podejść do ostatniego spotkania przeciwko nowemu mistrzowi, Interowi.

Kacper Janoszka

■ **Salernitana – Hellas 1:2 (0:2)**
0:1 – Suslov (22), 0:2 – Folorunsho (45+3), 1:2 – Maggiore (90)

■ **Bologna – Juventus 3:3 (2:0)**
1:0 – Calafiori (2), 2:0 – Castro (11), 3:0 – Calafiori (53), 3:1 – Chiesa (76), 3:2 – Milik (83), 3:3 – Yildiz (84)

Czołówka tabeli Serie A

1. Inter	37	93	87:20
2. Milan	37	74	73:46
3. Bologna	37	68	54:30
4. Juventus	37	68	52:31
5. Atalanta	36	66	67:39
6. Roma	37	63	64:44

Pucharowa profanacja

HISZPANIA

W przeciwieństwie do klubowych kolegów, kobieca drużyna Barcelony nie ma sobie równych w Hiszpanii. Podopieczne trenera Jonatana Giraldeza najpierw zapewniły sobie mistrzostwo kraju, a w ubiegłym tygodniu (18 maja) sięgnęły po Puchar Królowej (Copa de la Reina). W finałowym meczu rozegranym w Saragossie rozgromiły Real Sociedad San Sebastian aż 8:0! Barca Femeni zdobyła to trofeum już po raz dziesiąty w historii!

Boiskowe zmagania przyćmiły jednak wydarzenia, których kibice byli świadkami już po zakończeniu finałowej potyczki. To była demolka w wykonaniu Barcy i zarazem skandal w tle. Piłkarki obu drużyn, oczekując na dekorację, zostały potraktowane lekceważąco przez Hiszpańską Federację Piłkarską (RFEF). Nie zaplanowano bowiem żadnej ceremonii wręczenia pucharu oraz medali, mało tego, na płycie stadionu nie pojawiła się żadna delegacja, żeby nagrodzić zawodniczki. RFEF dostarczyła tylko dwie torby z medalami, a piłkarki musiały obsłużyć się same. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nikt ich o takim scenariuszu nie uprzedził.

Zawodniczki Barcelony, które nie mogły uwierzyć w zaistniałą sytuację, same musiały założyć sobie na szyje medale. Ta wstydliwa, wręcz żenująca sytuacja została uwieczniona na nagraniu opublikowanym przez „Mundo Deportivo". Prezes klubu z Camp Nou, Joan Laporta, który był obecny na spotkaniu finałowym, miał okazję na własne oczy przyglądać się temu niecodziennemu zdarzeniu. Członkowie sztabu szkoleniowego triumfatora również pomagali w dekoracji. Nie da się ukryć, że wszyscy byli zszokowani takim potraktowaniem przez działaczy futbolowej centrali. Nic dziwnego, że historia wywołała falę komentarzy o braku szacunku dla kobiecego futbolu zarówno w Hiszpanii, jak i na świecie. Nawiasem mówiąc to nie pierwszy raz, kiedy piłkarki FC Barcelony i Realu Sociedad doświadczyły takiego traktowania. Po ubiegłorocznym Superpucharze Hiszpanii również musiały same zakładać medale.

■ **FC Barcelona - Real Sociedad San Sebastian 8:0 (5:0)**
Bramki: Batlle 2 (5, 33), Paralluelo (13), Graham 2 (19, 26), Mariona 2 (48, 58) i Pina (52).
BARCELONA: Panos - Paredes, Pina, Paralluelo (54. Rolfo), Mariona, Graham (68. Brugts), Patri (54. Walsh), Aitana (46. Alexia), Bronze (63. Marta), O. Batlle, Engen.
REAL SOCIEDAD: Lete - Emma (81. Viles), Apari (71. Etxezarreta), Vanegas, I. Arnaiz (59. Jacqueline), Bernabe (59. Cecilia), Franssi, Andreia, Eizagirre, Jensen (71. Navarro), Amaiur.

W najbliższą sobotę, o godzinie 18.00 Barcelona na Estadio San Mames w Bilbao zagra w finale Ligi Mistrzyń z francuskim Olympique Lyon.

Bogdan Nather

Upadł gigant z Salzburga!

AUSTRIA

Swoim wejściem w austriacki futbol Red Bull zmienił wszystko. W kwietniu 2005 roku przemianował Austrię Salzburg na RB Salzburg i rozpoczął dominację w tamtejszej piłce. Zespół pod nową nazwą nigdy nie skończył niżej niż na 2. miejscu. W 19 sezonów zdobył 14 mistrzostw. Od edycji 2013/14 tamtejsza Bundesliga nie znała innego triumfatora, ale teraz w końcu się to zmieniło. Pierwszy raz od 2011, a czwarty w historii tytuł zdobył Sturm Graz, który wyprzedził „Byki" o 2 punkty. Co ciekawe, ani razu ich nie pokonał, bo w rundzie zasadniczej padły dwa remisy, a w grupie mistrzowskiej RB zdobył w bezpośredniej rywalizacji 4 punkty. W pozostałych spotkaniach pogubił ich jednak zdecydowanie za dużo, w efekcie czego drużyna prowadzona przez 46-letniego Christiana Ilzera przeszła do historii. Tak jak w niemieckiej Bundeslidze, tak i w austriackiej nastąpił upadek dominatora. Co też warto dodać, Sturm założył podwójną koronę, bo podniósł również Puchar Austrii – tam udało mu się pokonać Salzburg w półfinale.

Ilzer wspomniał, jak po zatrudnieniu w klubie (latem 2020 r.) dostał zadanie... narysowania, jak widzi przyszłość drużyny. – Narysowałem kabriolet na Herrengasse w Grazu (miejski bulwar – red.). Świętowaliśmy na nim, trzymaliśmy mistrzowską paterę i puchar. Dookoła pełno było czarno-białego konfetti – powiedział szkoleniowiec na konferencji po decydującym spotkaniu, po czym... wpadła na nią cała drużyna i oblała go piwem. Kiedy sędzia oznajmił zakończenie wygranego 2:0 meczu z Austrią Klagenfurt, wielu piłkarzy Sturmu miało w oczach łzy. Trybuny szalały, z głośników słychać było słynne „We are the champions" oraz hymn Ligi Mistrzów, w której zespół z Grazu wystąpi po raz pierwszy od sezonu 2000/01. Ilzer został wybrany najlepszym trenerem Bundesligi, a środkowy pomocnik Otar Kiteiszwili (najskuteczniejszy strzelec i asystent Sturmu) – najlepszym piłkarzem. 28-latek z uśmiechem może teraz szykować się do historycznego Euro, na którym wystąpi z debiutującą tam reprezentacją Gruzji.

Oczywiście swoją cegiełkę do sukcesu Sturmu dołożył Szymon Włodarczyk. O byłym napastniku Górnika Zabrze zrobiło się cicho po dobrym początku sezonu, kiedy zdobywał mnóstwo bramek. Sezon ligowy zakończył z 24 występami i 5 trafieniami, z czego 4 zaliczył na przestrzeni niecałych 30 dni w lipcu i sierpniu. Potem strzelił jeszcze w listopadzie – i to było na tyle. Jesienią z podstawowego gracza stał się zmiennikiem, a w decydującej części sezonu, w grupie mistrzowskiej, nie grał prawie wcale, czasem będąc w ogóle poza kadrą meczową. W spotkaniu z Klagenfurtem dostał jednak kilka minut.

Piotr Tubacki

Sport 8603e6c335

Zagrają odważnie

W Dublinie włoski zespół walczyć będzie o historyczny sukces i posadę trenera Gasperiniego.

ATALANTA BERGAMO

W poprzedniej kolejce ligi włoskiej Atalanta osiągnęła cel i zagwarantowała sobie udział w następnej edycji Ligi Mistrzów. To efekt serii pięciu kolejnych wygranych. W ostatniej kolejce pokonała 2:0 Lecce. To jednak nie koniec sezonu dla podopiecznych Gian Piero Gasperiniego. Nie mogą sobie pozwolić na odpoczynek, ponieważ już dzisiaj zmierzą się w finale Ligi Europy z Bayerem Leverkusen. Jak trudne będzie to zadanie, świadczą statystyki drużyny Xabiego Alonso. Nie zaznała w tym sezonie porażki na żadnym z frontów. Żeby to zmieniło się w finale LE, Atalanta musi wspiąć się na wyżyny swoich umiejętności.

Scamacca wystarczy?

Trener Gasperini nie musi się specjalnie obawiać o postawę swoich piłkarzy, którzy w ostatnich tygodniach prezentują świetną formą. Jednym z czołowych zawodników jest Gianluca Scamacca. Od końca marca zdobył już 5 goli w starciach ligowych i 3 razy asystował. Jest liderem drużyny i to jego absencja – z uwagi na nadmiar żółtych kartek – podczas niedawnego finału Pucharu Włoch również mogła negatywnie wpłynąć na wynik (Atalanta przegrała z Juventusem bój o trofeum). Przeciwko Bayerowi Scamacca już zagra. Jeśli zaprezentuje się tak, jak w ostatnich tygodniach, będzie zagrożeniem dla defensywy z Leverkusen. Czy to jednak wystarczy do pokonania niepokonanych?

Pierwszy finał

Atalancie z pewnością nie zabraknie motywacji. W końcu stanie przed historyczną szansą na sukces. Do tej pory klub z Bergamo nie zdobył zbyt wielu trofeów. Największym sukcesem było zdobycie krajowego pucharu w… 1963 roku. Od tego momentu wiele się zmieniło. W ostatnich 5 latach drużyna pod wodzą trenera Gasperiniego 3 razy stawała na najniższym stopniu podium w lidze i 3-krotnie była w finale Pucharu Włoch. Jednak sukcesu sprzed ponad 60 lat nie udało jej się powtórzyć. Na międzynarodowej arenie Atalanta również nie miała zbyt wiele do powiedzenia. Największym sukcesem było znalezienie się w półfinale Pucharu Zdobywców Pucharów w sezonie 1987/88.

Wciąż niepewny

Potencjalna wygrana z Bayerem byłaby piękną klamrą dla pracy Gian Piero Gasperiniego. 66-latek jest związany z Atalantą od 2016 roku. To właśnie on przyczynił się do rewolucji w klubie. Za jego kadencji ekipa z Bergamo przestała być średniakiem, a stała się znaczącym graczem w walce o ligowe medale. O jej aktualnej sile przekonał się na własnej skórze Raków Częstochowa, który w fazie grupowej LE przegrał z nią dwukrotnie (0:2 i 0:4). Ale nawet o wiele lepsze zespoły musiały uznać wyższość ekipy z Lombardii, bo w ćwierćfinale wyeliminowała Liverpool. – Nie mamy się czego bać. Zagramy odważnie, bo Atalanta w świetnej formie może sprawić kłopoty każdemu – zapewnił szkoleniowiec Włochów. Co ciekawe, pomimo wielu lat pracy, Gasperini wciąż nie jest pewny, czy będzie prowadził zespół w następnym sezonie. Wiele może zależeć od wyniku finału. – Moja przyszłość po 8 wspaniałych latach w Bergamo zostanie zweryfikowana po finale w Dublinie. Po nim zobaczymy, czy w klubie będą mnie jeszcze tolerować, czy już nie – stwierdził trener.

Kacper Janoszka



Fot. Felice De Martino/SPP/SIPA USA/PressFocus

Gianluca Scamacca był brakującym elementem podczas finału Pucharu Włoch.



Fot. ANP/SIPA USA/PressFocus

Czy maszyna Xabiego Alonso przemieli w swoich trybach kolejnego rywala?

W drodze po potrójną koronę

Bundesliga już za nim, finał Pucharu Niemiec w sobotę – a dzisiaj niepokonany Bayer Leverkusen chce włożyć do gabloty trofeum Ligi Europy.

BAYER LEVERKUSEN

Istnieją nieformalne rozgrywki o miano najlepszej klubowej drużyny świata. Grono fanatyków-statystyków ustaliło kiedyś pierwszy w historii mecz piłkarski, a następnie regułą bokserską zaczęło przekazywać tytuł mistrza świata temu zespołowi, który pokonał aktualnego mistrza. Tym oto sposobem przez dekady miano to krążyło po różnych częściach globu i – przede wszystkim – Europy, by w końcu trafić do Leverkusen. I jest w nim od roku. Bayer nie przegrał od 27 maja 2023, jako pierwszy w historii zakończył Bundesligę bez choćby jednej porażki. Jego seria trwa już 51 spotkań, nikt nigdy takiej nie miał. „Die Werkself" zrobią wszystko, aby kontynuować ją również po dzisiejszym finale.

Nic ich nie zaskoczy

W Leverkusen pamiętają dwumecz Ligi Europy z marca 2022 roku, przegrany sumarycznie z Atalantą 2:4. Wtedy na ich ławce nie było jeszcze trenera Xabiego Alonso i wielu obecnych zawodników, zespół grał zdecydowanie słabiej, ale na pewno wciąż „siedzi" to z tyłu głowy niektórych graczy.

– To był jeden z moich najtrudniejszych meczów. Atalanta to bardzo dobry zespół, świetny taktycznie, ze znakomitymi zawodnikami – chwalił Włochów skrzydłowy Bayeru Amine Adli. W samych superlatywach wypowiadał się także sam Alonso. – Według mnie to jeden z najtrudniejszych rywali w Europie. Ma świetną mentalność i trenera, który doskonale wie, czego chce. Mają szeroki skład i grają intensywny futbol, a każdy mecz Atalanty jest wymagający dla jej przeciwnika. Spodziewamy się trudnego spotkania i walki, w którym na boisku będzie bardzo ciasno – powiedział baskijski szkoleniowiec, który jednak nie obawia się tego, że Włosi go zaskoczą. – Koncepcje Atalanty nie są takie same, jak w 2022 roku, ale to wciąż ten sam trener oraz wielu graczy z tamtego okresu. To nie jest przeciwnik, którego nie znamy. Wielu naszych piłkarzy mierzyło się z nimi. To nic nowego, wiemy, czego się spodziewać – uspokoił Alonso, dodając na koniec: – Ale za to my jesteśmy nowym zespołem.

Pełen wachlarz wyboru

Trudno przewidzieć, ilu piłkarzy Bayeru z ostatniego meczu z Atalantą wybiegnie dziś na murawę w Dublinie. W drużynie nie ma żadnych absencji, więc Alonso ma pełen wachlarz wyboru. W porównaniu do składu sprzed dwóch lat w podstawowej jedenastce można się spodziewać dwóch stoperów, Jonathana Taha i Edmonda Tapsoby, oraz środkowego pomocnika Exequiela Palaciosa (lub Roberta Andricha w jego miejsce). Wspomniany Adli w Lidze Europy na ogół grał w tym sezonie od początku, ale w ważniejszej dla Alonso Bundeslidze był głównie zmiennikiem, co jasno definiuje jego pozycję w hierarchii. Przez większą część rozgrywek w pucharach Leverkusen dawało pograć tym nieco mniej istotnym zawodnikom, ale w finale raczej zaprezentuje swoje najpotężniejsze oblicze.

Kapitan na ławce?

Dlatego pytanie brzmi: czy z Atalantą wystąpi... kapitan Bayeru, Lukas Hradecky. W Lidze Europy zawsze bronił bowiem bramkarz numer 2, Matej Kovar (tylko w ostatnim spotkaniu grupowym zagrał golkiper nr 3, Niklas Lomb). Hradecky nie wystąpił ani razu, zresztą identycznie sprawy się mają w Pucharze Niemiec. Czy w takim razie kapitan Leverkusen... opuści oba finały? Wydaje się, że raczej nie, a biorąc pod uwagę, że w DFB-Pokal Bayer zagra z drugoligowym Kaiserslautern, to w nim obecność Kovara będzie bardziej uzasadniona niż dzisiaj. – Nie wiem, jak trenerzy to oceniają. Na pewno nie będę miał pretensji, jeśli nie zagram w którymś finale. Matej zasłużył na wszystko, co mu się przydarzyło – podszedł do wszystkiego po koleżeńsku Hradecky.

Piotr Tubacki

WOKÓŁ EURO

SZEŚCIU DOŚWIADCZONYCH

■ Reprezentacja Szwajcarii coraz mocniej zmienia znane od lat oblicze. Od trzech lat prowadzi ją Murat Yakin, który zastąpił doskonale znanego Vladimira Petkovicia, a najbardziej kojarzone twarze piłkarzy w coraz większym stopniu ustępują tym nowym. „Nati" podali na razie szeroką kadrę na zbliżające się mistrzostwa Europy, liczącą sobie aż 38 piłkarzy. Składa się na nią 5 bramkarzy, 13 obrońców, 10 pomocników oraz 10 napastników. W tym gronie jest 6 graczy, którzy pamiętają zarówno Euro 2020 (2021), kiedy Szwajcarzy dotarli do ćwierćfinału, oraz Euro 2016, kiedy odpadli w 1/8 finału. To golkiper Yann Sommer, lewy obrońca Ricardo Rodriguez, stoper Fabian Schaer, środkowy pomocnik Granit Xhaka, ofensywny pomocnik Xherdan Shaqiri oraz napastnik Breel Embolo. To najbardziej doświadczeni piłkarze w kadrze Helwetów (od Embolo więcej spotkań – o dwa – ma tylko pomocnik Remo Freuler, ale jego nie było na Euro 2016). Mimo szerokiego grona powołanych Yakin nie zdecydował się na zaproszenie Harisa Seferovicia. 93-krotny reprezentant Szwajcarii występuje aktualnie w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, gdzie prezentuje niezłą formę. Od początku 2023 roku na zgrupowaniu pojawił się jednak tylko raz, w czerwcu.

NIE BRAKŁO ZASKOCZEŃ

■ Gospodarze nadchodzącego turnieju podali pełną kadrę, jaka będzie ich reprezentować na europejskim czempionacie. Z 27-osobowego składu Niemców zostanie skreślony tylko jeden piłkarz. Można jednak odnieść wrażenie, że więcej niż o powołanych mówiło się o tych, których na Euro zabraknie. To kilka dużych nazwisk i kilku potencjalnych kadrowiczów z Bayernu Monachium czy Borussii Dortmund. Jednakże gdyby przyjrzeć się im dokładniej, każdy ma na swoim koncie jakiś powód, dla którego selekcjoner Julian Nagelsmann postanowił go pominąć. Leon Goretzka rozegrał słaby sezon, dobrze czując się tylko w spotkaniach, w których Bayern grał cofnięty i nie dominował. Również jego klubowy kolega Serge Gnabry albo zawodził, albo leczył kontuzje. Wysoka forma w Lidze Mistrzów nie przekonała trenera do powolnego Matsa Hummelsa z Borussii, zresztą Dortmund wysłał na Euro tylko dwóch Niemców – napastnika Niclasa Fuellkruga oraz stopera Nico Schlotterbecka, którego Nagelsmann wcześniej nie powoływał. Na Euro nie pojedzie także kapitan BVB, Emre Can, co zresztą tylko podkreśla, że przekazanie mu opaski kapitańskiej w zespole było... nieoczywistądecyzją.

(PTub)



Zaczynamy za 23 dni

Zachować zimną głowę


Catherine Ivill/AMA/Pressfocus.pl

Rozmowa z **Johnem Carverem**, drugim trenerem reprezentacji Szkocji


Fot. Jamie Johnston/Focus Images/MB Media/PressFocus.pl

Scott Mc Tominay (nr 4) – gwiazda szkockiej reprezentacji i jeden z najlepszych piłkarzy w eliminacjach.

Jakie są nastroje w Szkocji przed startem Euro?

- Oczekiwania są takie, że będzie lepiej niż trzy lata temu, kiedy też graliśmy w Euro, ale nie poszło nam tak jak wszyscy oczekiwali. Owszem, zremisowaliśmy wtedy z Anglikami na Wembley, ale pozostałe mecze przegraliśmy (z Czechami 0:2 i Chorwacją 1:3, mimo że grali u siebie w Glasgow – przyp. red.). Uczymy się jednak na doświadczeniach. Do tegorocznego turnieju awansowaliśmy z grupy w dobrym stylu, gdzie była silna Hiszpania, a także inny finalista mistrzostw - Gruzja. Chcemy teraz w tej niezwykle silnej stawce z gospodarzami, Szwajcarami i Węgrami powalczyć. Wiadomo jak trudni są przeciwnicy, ale to Euro, więc takich meczów się spodziewasz, wiesz, że rywale będą bardzo mocni. A oczekiwania? Nie chcemy, aby były one za wysokie, nie chcemy narzucać sobie jakiejś presji.

W eliminacjach pokonaliście u siebie Hiszpanów 2:0. Powtórzenie takiego wyniku w meczu otwarcia z Niemcami 14 czerwca jest możliwe?

- Będzie to piekielnie trudne. Zagramy na Allianz Arena przed 75 tysięczną publicznością. Poza tym w ostatnim czasie Niemcy grają lepiej, ich dyspozycja jest lepsza niż było to wcześniej. Doszedł taki piłkarz jak Kroos. Przed nami bardzo wymagający rywal, który gra u siebie, przed swoją publicznością. Nie mamy jednak nic do stracenia. W eliminacjach pokazaliśmy, że potrafimy ograć choćby takiego przeciwnika jak Hiszpania. W meczu na wyjeździe z nimi też było dobrze, przegraliśmy, ale można się było zastanowiać nad wątpliwą decyzją sędziów, którzy nie uznali w tym spotkaniu bramki Mc Tominaya. Wiemy jak trudno jest w starciach z tymi topowymi reprezentacjami, a Niemcy to taki turniejowy zespół, który rozkręca się z meczu na mecz, pokazali to nieraz. Wiemy co nas czeka.

Gracie mecz otwarcia. To honor? Wiadomo, pierwsze spotkanie, wszyscy patrzą, jesteście na oczach całego futbolowego świata.

- To fantastyczna sprawa! Kiedy podczas losowania dowiedzieliśmy się, gdzie jesteśmy, jaki jest kalendarz naszych meczów, to od razu pojawiła się ekscytacja. Mówimy oczywiście między sobą, co nas może czekać, jak ten mecz otwarcia Euro może wyglądać i jedna konkluzja z tych rozmów jest jasna – trzeba zachować zimną głowę. Owszem, będziemy w świetle reflektorów, ale to w końcu mecz. Trzeba wierzyć w siebie, grać swoje, tak jak było to w eliminacjach, a emocje zostawić za sobą.

Szkocka „Tartan Army" udaje się do Niemiec, jak zwykle na wielki turniej, w olbrzymiej liczbie dziesiątków tysięcy fanów. Jak dużym wzmocnieniem będą dla was fani?

- Olbrzymim! Pandemia koronawirusa zatrzymała to wspólne jeżdżenie szkockich kibiców na mecze. Teraz wszystko się zmieniło i przyjadą kibice ze Szkocji wspierać swój zespół. Uwielbiają się bawić, wspierać swoją drużynę i być ze sobą razem. Niemcy są dla nich... za małe, dlatego część z nich zatrzyma się przykładowo w Holandii. Dla nich nadchodzące mistrzostwa to wielkie święto. Dla tej szkockiej armii kibiców tak po prawdzie, to pierwszy taki wielki turniej od mistrzostw Europy w Anglii w 1996 roku. Już wszyscy o tym rozmawiają, planując podróż na kontynent i rozważając szanse. Panuje wielki entuzjazm.

W eliminacjach Scott Mc Tominay z 7 bramkami był jednym z lepszych strzelców, przykładowo skuteczniejszy od Erlinga Haalanda. 27-letni zawodnik Manchesteru United może być jedną z gwiazd Euro 2024?

- Miał problemy zdrowotne w końcówce Premier League. W eliminacjach Euro pokazywał się ze znakomitej strony. Miał świetne liczby, grał naprawdę dobrze. Mamy taką grupę graczy, gdzie nie ma supergwiazd, ale ci ludzie świetnie ze sobą współpracują, co widać potem po wynikach na boisku. Zobaczymy jak na samym turnieju wszystko się rozwinie, jak to będzie wyglądało od pierwszego meczu.

Pytanie o reprezentację Polski, która jako ostatnia awansowała do finałów Euro. Jak pan ocenia nasz futbol?

- Wasza reprezentacja to bardzo wymagający i silny przeciwnik. Dwa lata temu graliśmy ze sobą w meczu sparingowym w marcu 2022 przed barażem ze Szwecją zremisowaliśmy na wyjeździe 1:1 – przyp. red.. Teraz znowu spotkamy się wkrótce, bo przecież los skojarzył nas w tej samej grupie w Lidze Narodów. Gracie na Euro z takimi zespołami, jak Francja, Holandia, Austria. Macie jednak na tyle silną jedenastkę, że stać was na dobry wynik. Interesuję się też polską ligową piłką, która jest ciekawym futbolowym rynkiem. Kiedy prowadziłem Omonię Nikozja, to jednym z moich graczy był Cillian Sheridan, grający potem w Jagiellonii. Z kolei dyrektorem Lechii jest mój dobry przyjaciel z Anglii, Kevin Blackwell.

Rozmawiał
Michał Zichlarz

Ukradli... toi toje!

W weekend w Zakopanem zakończył się Bielik Cup dla 11-letnich chłopców. Po jego zakończeniu rodzice mieli sporo pretensji do organizatorów...

Bielik Cup to turniej ogólnopolski dla zespołów w różnym wieku. W tym roku rywalizują ekipy z roczników od 2013 do 2017. W sobotę i niedzielę grali 11-latkowie. 36 drużyn z całej Polski podzielono na 6 grup. Walczono jednocześnie na dwóch boiskach w zakopiańskiej Pardałówce.

Helikopter w akcji

Było sporo ekip z Małopolski, z Cracovią na czele, ale też drużyny z innych części kraju, bo Gedania Gdańsk, APR Piła, SMS Łódź, FA Leszno, Falubaz Zielona Góra, Stal Stalowa Wola czy sporo zespołów ze Śląska (GKS Katowice, Polonia Bytom, RKP ROW Rybnik, Rymer Rybnik, a także Rekord Bielsko-Biała czy API Czeladź).

Zorganizowanie imprezy, gdzie w formule 7 na 7 po 18 minut gra bez mała 400 zawodników, a ekipy liczyły po minimum 10 graczy, to spore wyzwanie. Narzekali szczególnie ci, którzy nie grali na głównej arenie, a na boiskach API Bory. Nie chodzi o jakość boiska, bo było ono dobre, ale jego zaplecze. Przy grających naraz kilkunastu drużynach, a do tego dopingujących ich rodzicach, których było więcej niż dzieci - Polonia Bytom mogła liczyć na regularny doping i nawet flary - potrzeba jest chociaż minimalna infrastruktura. Tej na obiekcie jednak nie było. Brak toalet, szatni i czegokolwiek do jedzenia, a przy tym... latający helikopter! Wszystko kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie toczyły się mecze.

Jak wszystko tłumaczy główny organizator? - Dotychczasowe turnieje organizowaliśmy w Krakowie. Tym razem pomyśleliśmy, że fajnym miejscem dla wszystkich może być Zakopane. Postawiliśmy trzy toi toje, z których dwa w piątek zostały skradzione, a w sobotę ktoś przewrócił ten jeden stojący. Próbowaliśmy go postawić, ale się nie dało. Napisaliśmy przeprosiny na Facebooku, że to wszystko nie było naszą winą. Wcześniej robiliśmy turnieje na 48 zespołów i nie było kłopotu. Helikopter? Lądował nie na boisku, tylko obok. To była dodatkowa atrakcja - mówi Sebastian Łuszczek, główny organizator Bielik Cup.

Nasyłali policję i straż

Na oficjalnym profilu turnieju, po interwencjach i wpisach rodziców, pojawił się wpis o treści: „Ze spraw pozasportowych gratulujemy „życzliwym", którzy podczas dwóch dni turnieju nasyłali na nas policję i straż miejską, tym którzy w piątek w nocy ukradli dwa toi toje, a z soboty na niedzielę przewrócili trzeci. Gratulacje... udało się. Całe szambo wylało się na nas! Ze swojej strony życzymy, abyście z wyżej wymienionych toi toi nie schodzili przez najbliższy tydzień. Wszystkie drużyny, które swoje mecze rozgrywały na API Bory, przepraszamy za zaistniałą sytuację i liczymy na wyrozumiałość. Ze sportowym pozdrowieniem ekipa Bielik Cup".

Turniej wygrał FA Leszno, który w finale pokonał Juventus Warszawa.

Michał Zichlarz



Fot. własne

W dwudniowym turnieju w Zakopanem wystąpiło aż 36 zespołów.

Skrzywdzeni przez sędziego

Protestu nie złożymy, bo nic nam to nie da, ale zapamiętamy to na długo - mówi po skandalicznej sytuacji, jaka miała miejsce w meczu ze Stomilem Olsztyn wiceprezes Skry Częstochowa, Piotr Wierzbicki.

Niedzielne spotkanie Skry ze Stomilem miało olbrzymi ciężar gatunkowy. Piątkowo-sobotnie wyniki 33. kolejki tak się ułożyły, że pokonanie olsztynian gwarantowałoby częstochowianom niemal pewne utrzymanie w 2. lidze. Padł jednak remis 2:2, a to oznacza, że o pozostanie na trzecim szczeblu rozgrywek ekipa spod Jasnej Góry musi powalczyć w ostatnim meczu sezonu.

Stres byłby zdecydowanie mniejszy, gdyby nie katastrofalna pomyłka sędziego. Tuż po wyrównującym golu dla gości Sebastian Tarnowski z Wrocławia nie zauważył, jak po strzele Jana Ciućki z 15 metrów trafiona w poprzeczkę przekracza linię bramkową. - Analizowaliśmy tę sytuację wielokrotnie, klatka po klatce. Na wszystkich ujęciach widać, jak piłka odbija się od murawy za linią bramkową i to o dobre kilkadziesiąt centymetrów! Owszem, arbiter główny mógł być lekko zasłonięty, ale od czego ma asystenta? Ten mu nie pomógł, nie podniósł chorągiewki bo... był spóźniony. Zresztą nie tylko w tej sytuacji. Mówię o tym z pełnym przekonaniem, bo mecz obserwowałem z balkonu budynku klubowego i doskonale widziałem jego (Krzysztofa Stępnia - przyp. red.) pracę. Mieliśmy 48 godzin na złożenie protestu do PZPN, ale nie zrobiliśmy tego, bo zostałby odrzucony, do powtórzenia meczu by nie doszło. Niesmak jednak pozostał, zapamiętamy to na długo, bo po spotkaniu o życie mielibyśmy 3, a nie 1 punkt, co stawiałoby nas w znacznie korzystniejszym położeniu. Owszem, gdybyśmy w doliczonym czasie gry wykorzystali czystą sytuację na 3:2, dyskusji by nie było, ale niestety dwóch naszych zawodników minęło się z piłką.

Po feralnej sytuacji ławka Skry wręcz eksplodowała ze złości. Arbiter techniczny Mateusz Długosz musiał więc uspokajać członków sztabu, a najbardziej protestujący trener bramkarzy Jacek Janowski zobaczył czerwoną kartkę. - Wiem, że to znacznie mniejszy „rozmiar kapelusza", ale do podobnego zdarzenia doszło 14 lat temu na mistrzostwach świata w RPA, kiedy w meczu Anglia - Niemcy w 1/8 finału sędzia z Urugwaju nie dostrzegł, jak po strzale Franka Lamparda ze sporego dystansu odbita od poprzeczki piłka spada za linią bramkową. Wtedy gol również był ewidentny - przypomina działacz Skry, sugerując, że na wszystkich spotkaniach centralnego poziomu powinien być VAR. - Wiem, że byłoby to kosztowne oraz wymagałoby zaangażowania dodatkowych osób, ale rozwiewałoby wszelkie wątpliwości, a obsługujący system sędziowie - tak jak w ekstraklasie i 1. lidze - podpowiadaliby arbitrom będącym na boisku, dzięki czemu kontrowersji byłoby znacznie mniej - dodaje Piotr Wierzbicki.



Fot. Skra Częstochowa

Na tym ujęciu dokładnie widać, że piłka odbija się za liną bramkową...

O pozostanie na szczeblu centralnym częstochowianie powalczą w sobotę w Kaliszu, ale ich uwaga skierowana będzie również na Bytom. Jeśli bowiem pragnąca zachować miejsce w czołowej szóstce Polonia pokona rezerwy Lecha Poznań, ich wynik z mającym szansę nawet na bezpośredni awans KKS-em 1925 nie będzie miał żadnego znaczenia.

Marek Hajkowski

ME JUNIORÓW DO LAT 17

FAWORYT ZA SILNY

■ Na mistrzostwach Europy są same mocne drużyny, więc o rezultatach często będzie decydowała forma dnia. Mnie w tym momencie nic poza meczem z Włochami nie zaprząta głowy. Naszym celem zawsze było, jest i będzie wygrywanie. Chłopcy nieraz pokazywali już, że potrafią radzić sobie z presją i jestem przekonany, że tym razem będzie podobnie - mówił ze spokojem dzień przed pierwszym spotkaniem Euro U-17 na Cyprze selekcjoner reprezentacji Polski, Rafał Lasocki. - Patrząc na moich zawodników, widzę dużą jakość, zaangażowanie i świadomość tego, po co tu przyjechali. Każdy z nich może wejść na boisko i walczyć jak równy z równym z każdym przeciwnikiem - podkreślał trener Lasocki. Wczoraj jego słowa - niestety - nie znalazły potwierdzenia.

Problem w tym, że rywalem jego zespołu byli Włosi, czyli jeden z faworytów turnieju. Potwierdziło się to na boisku, bo już od 5 minuty biało-czerwonym przyszło odrabiać straty. Chęci i ambicji nie można było im odmówić, ale szwankowała skuteczność, choć zbyt wielu klarownych okazji nie zdołali wypracować. Wydawało się, że od 53 minuty naszym juniorom będzie łatwiej, gdyż czerwoną kartkę za faul taktyczny zobaczył Andrea Natali, lecz grę nadal kontrolowali przeciwnicy. Na domiar złego w 72 min wyprowadzili kontrę, która okazała się zabójcza i marzenia o zwycięstwie zwyczajnie prysły. Owszem, były próby zdobycia kontaktowej bramki, jednak zbyt czytelne dla zdeterminowanych i cwanych Włochów.

Dla Polaków turniej się nie kończy, ale żeby wyjść z grupy C, będą musieli zapunktować w kolejnych meczach. Najbliższy już w piątek (17.00) ze Szwecją, która wczoraj zremisowała ze Słowacją 0:0. Awans do ćwierćfinałów (29-30 maja) wywalczą po dwa najlepsze zespoły z każdej z czterech grup. Półfinały zaplanowano na 2 czerwca, a finał 5 czerwca.

■ **Włochy - Polska 2:0 (1:0)**
1:0 - Mosconi, 5 min, **2:0** - Coletta, 72 min
POLSKA: Pruchniewski - Kriegler, Potulski, Szwiec - Szczepaniak (72. Sarapata), Adkonis, Dziewiatowski, Brzyski (86. B. Mazurek), D. Mazurek (72. Jakóbczyk) - Pietuszewski (86. Wróblewski), Izunwanne (72. Gieroba). Trener Rafał LASOCKI.

(m)

PUCHAR POLSKI NA ŚLĄSKU 1/2 FINAŁU

■ **Drama Zbrosławice - LKS Goczałkowice 1:3 (0:1)**
Bramki: Ptak 90 - Nagrodzki 42, 54, Lipniak 90+3.

■ **Podbeskidzie II Bielsko-Biała - Zagłębie II Sosnowiec 4:1 (2:1)**
Bramki: Stryjewski 6, 72, Szumiński 25, Nnoshiri 63 - Wojdas 34.

Komu srebro, komu brąz?

Mecze zespołów z Lubina i Lublina od lat elektryzują. Stawką dzisiejszego będzie... wicemistrzostwo Polski.


Fot. KGHM MKS Zagłębie Lubin

Lubińskie szczypiornistki, zgodnie z tradycją, fetowały mistrzostwo na stadionie Zagłębia.

Gdyby wszystko potoczyło się po myśli lublinianek, wieczorne starcie z „miedziowymi" byłoby tylko... wisienką na torcie, a jego wynik miałby jedynie prestiżowe znaczenie. MKS FunFloor pokpił jednak sprawę, zyskując zaledwie punkt w zaległym meczu z Kobierzycami, choć na 40 sekund przed końcem miał... 2 bramki przewagi. Przed ostatnią kolejką tabela wygląda więc tak, że obaj niedawni rywale mają szansę na srebrny medal, ale w lepszym położeniu są „Kobierki". Mają co prawda „oczko" mniej niż drużyna z Lublina, lecz teoretycznie łatwiejszego rywala; o tym, że UKS Urbis Gniezno skończy sezon na 4. miejscu, wiadomo od dawna. Z kolei FunFloor czeka wyjazd do Lubina, gdzie zostanie podjęty przez odwiecznego rywala i - żeby sięgnąć po srebrny medal - musi go pokonać i to za 3 punkty. Nie będzie to łatwe, choć w połowie lutego MKS przerwał serię „miedziowych", zwyciężając po rzutach karnych.

- Liga się jeszcze nie skończyła, został nam jeden mecz. To jest sport. KPR ma swoje zawody, my mamy swoje. Musimy to po prostu ugryźć i do końca pokazać charakter - apeluje trenerka zespołu z Lublina, Edyta Majdzińska. Jej podopieczne są równie bojowo nastawione. - Nie da się ukryć, że mecz będzie ciężki. Zagłębie ma naprawdę dobry sezon. To tegoroczny mistrz Polski. Będzie tym trudniej, że gramy na wyjeździe, ale uważam, że prze pierwszym gwizdkiem nic nie jest przesądzone. Nie jesteśmy w komfortowej sytuacji. Wszystko może się jednak wydarzyć - dodaje kapitan zespołu, skrzydłowa, Daria Szynkaruk, a bramkarka Paulina Wdowiak zapewnia: - Nie zwieszamy głów. W każdym spotkaniu walczymy. Myślę, że nie można nam zarzucić braku zaangażowania. Dajemy z siebie wszystko, bo chcemy wygrywać. Nie zawsze nam się to udaje, bo taki niestety jest sport. Dążymy do tego, by być najlepsze. Wierzę, że wygramy i zdobędziemy srebro - mówi zawodniczka.

Znając jednak Bożenę Karkut, biało-zielone na taryfę ulgową nie mają co liczyć. Jeśli zobaczy, że któraś z jego podopiecznych gra na pół gwizdka, poprosi ją na rozmowę i powie, co o tym myśli. U doświadczonej trenerki wszystko musi chodzić jak w zegarku i nie będzie miało żadnego znaczenia, że jej zespół od blisko miesiąca jest pewny 4. z rzędu złotego medalu, że po ostatniej syrenie obędzie się koronacja, strzelą korki szampanów i rozpocznie się mistrzowska feta, a także wręczenie corocznych „Gladiatorów". Chcąc zapełnić trybuny hali Regionalnego Centrum Sportowego, podjęto decyzję, że wstęp na mecz będzie wolny. Tylu kibiców, co na poniedziałkowym meczu piłkarskiego Zagłębia z ŁKS-em Łódź, podczas którego mistrzynie pochwaliły się złotymi krążkami i pucharem, pewnie nie będzie, ale „miedziowe" i tak mogą liczyć na gorący doping. Dla niektórych, jak skrzydłowa Daria Michalak, będzie to ostatni występ w barwach Zagłębia. - Nie dało się zatrzymać. Nigdy nie dorównamy, jeśli chodzi o wysokość wynagrodzenia, klubom grającym w Lidze Mistrzyń. Bardzo żałuję, że nam podkupiono Darię. Ten sezon należał do niej - powiedział prezes lubińskiego klubu, Witold Kulesza, a transmisję z hitowego meczu przeprowadzi Polsat Sport 2.

Marek Hajkowski

ORLEN SUPERLIGA KOBIET

GRUPA MISTRZOWSKA

Środa, 22 maja
KOBIERZYCE, 20.00: KPR - MKS Urbis Gniezno
LUBIN, 20.00: KGHM MKS Zagłębie - MKS FunFloor Lublin

BARAŻ O ORLEN SUPERLIGĘ KOBIET

Środa, 22 maja
KALISZ, 18.00: AWS Energa Szczypiorno - MTS Żory; w pierwszym meczu 29:26

Nie pora na emeryturę

Michał Pietraczyk nic sobie nie robi z 36 lat i nadal jest postrachem obrońców oraz bramkarzy Kuźni Ustroń.


Fot. Dorota Dusik

Drużynę Michała Pietraczyka czeka dziś bardzo ważny mecz...

Jeszcze trochę krzepy mi zostało - uśmiecha się napastnik Kuźni, która po rundzie jesiennej zajmowała 11. miejsce w II grupie IV ligi śląskiej, a w tabeli wiosny - mając mecz mniej od rywali z czołówki - plasuje się na 6. pozycji. Po zwycięstwie 5:1 w Lędzinach, zespół dla którego Michał Pietraczyk strzelił gola i w ogólnej klasyfikacji przesunął się na 9. miejsce, dziś o 18.00 rozegra zaległy mecz z LKS-em Czaniec, chcąc zrobić kolejny krok do przodu. - Fizycznie czuję się dobrze i dopóki zdrowie dopisuje, planuję dawać z siebie maksa - podkreśla lider i kapitan zespołu.

Jak oceni pan Kuźnię z rundy wiosennej?

- Jest to drużyna zdecydowanie lepsza niż ta z rundy jesiennej. Przede wszystkim poprawiliśmy grę obronną. Jesteśmy bardziej skoncentrowani pod swoją bramką i choć gramy mocno ofensywnie, a co za tym idzie narażamy się na kontry, to w sumie liczba strzelonych przez nas goli jest zdecydowanie wyższa niż straconych, dzięki czemu wygrywamy. Myślę, że nasz ofensywny futbol może się podobać.

Czy wasza międzynarodowa drużyna ma wspólny język poza boiskiem?

- Kolumbijczyk, Brazylijczyk, Portugalczyk, Ukraińcy, Polacy tworzą „internacional team", ale na boisku nie mamy problemów z porozumiewaniem się, bo piłkarskie komendy są proste. Poza boiskiem jest hierarchia zawodników, którzy sterują i zarówno Polacy, jak i obcokrajowcy wiedzą kto mówi jako pierwszy. Jest Adrian Sikora, doświadczony i pomocny, więc się od niego uczymy. Ja też wyciągam od niego to co najlepsze i dokładam od siebie, bo zespół jako całość jest podstawą dobrego wyniku.

Które z rozegranych wiosną spotkań uzna pan za najlepsze w swoim wykonaniu?

- Na pewno z Gwarkiem w Ornontowicach będzie w czołówce. Strzeliłem dwa gole, wygraliśmy 4:2, było sporo dobrych akcji, więc mogłem być z tego występu zadowolony, aczkolwiek ja na to tak nie patrzę. Za każdym razem daję z siebie tyle ile mogę i to jest mój główny cel, gdy wychodzę na boisko. O planach trudno mi już jednak mówić. Chciałbym jeszcze pograć, ale rodzina ma też swoje wymagania i nie za bardzo na to pozwala. Treningi i mecze zajmują dużo czasu, więc rodzą się... dyskusje. Do końca tego sezonu na pewno będę grał, a co dalej? Jeszcze nie wiem. Na razie przeciągamy linę.

W jaki sposób człowiek urodzony w Knurowie, a następnie grający w młodzieżowych drużynach Górnika Zabrze oraz w III-ligowym Krasiejowie trafił do klubu z Ustronia?

- Najpierw zamieszkałem w Ustroniu, ale moim pierwszym klubem po przeprowadzce w te malownicze strony, gdzie przeprowadziłem się idąc za głosem serca, przed 14 laty był KS Wisła, z którym wszedłem do IV ligi. W 2016 roku otrzymałem jednak ofertę z Kuźni i także świętowałem z nią awans do IV ligi, w której mam nadzieję utrzymamy się w tym sezonie, choć z powodu reorganizacji nie jest łatwo. Myślę, że to będzie mój ostatni klub.

Co pan robi poza graniem w piłkę?

- Pracuję jako logistyk w firmie w Skoczowie. Mam pracę za biurkiem i choć na moim stanowisku muszę być czasem dyspozycyjny także po godzinach urzędowania, to jednak nie mam problemu z pogodzeniem pracy z grą. Rodzina też się już do mojego trybu przyzwyczaiła, bo z Patrycją doczekaliśmy się dzieci. Julia i Pola nie są piłkarkami. Starsza ma 9, a młodsza 4 lata i obie cały czas zmieniają swoje zainteresowania, a rodzice próbują nadążać i to powoli zaczyna wysuwać się na plan pierwszy.

Jerzy Dusik

POLACY ZA GRANICĄ

POLSKI POJEDYNEK W GRECJI

■ W lidze greckiej w ćwierćfinałach spotkały się zespoły z Polakami w składach. W starciu z PAOK zdecydowanym faworytem jest Panathinaikos. W pierwszym meczu "Zielone koniczynki" rozbiły we własnej hali ekipę z Salonik 84:66. Aleksander Balcerowski w barwach zespołu z Aten zagrał przez 9 minut. Zdobył w tym czasie 2 punkty (1/2 z gry), miał 2 zbiórki i 3 bloki. Michał Michalak (PAOK) był na parkiecie 25 minut, zanotował 7 punktów (2/5 z gry, 2/3 za trzy, 1/2 z linii osobistych), miał 7 zbiórek i popełnił 2 straty. Mecz numer dwa był bardzo zacięty, ale znów lepszy był Panathinaikos. Tym razem wygrał po dogrywce 99:96. Michalak był jedną z najważniejszych postaci PAOK - zdobył 16 punktów 5/10 z gry, 3/6 za trzy), miał też 6 zbiórek i 1 asystę. Balcerowski nic specjalnego nie wniósł do gry zespołu z Aten - 5 minut na boisku, 2 punkty (1/3 z gry), 2 zbiórki i 1 blok.

■ W Bundeslidze Veolia Towers Hamburg zakwalifikował się do mini-turnieju play in. W pierwszym meczu pokonał w Oldenburgu Ewe Baskets 93:81, ale drugie spotkanie z MHP Riesen w Ludwigsburgu przegrał 78:91. To oznacza, że w fazie play off zespół z Hamburga nie zagra. Aleksander Dziewa w pierwszym spotkaniu w ogóle nie pojawił się na boisku, natomiast w Ludwigsburgu zagrał. Po raz pierwszy po kontuzji wyszedł w pierwszej piątce i na parkiecie spędził 13 minut. Zdobył 3 punkty (0/1 z gry, 3/6 rzuty wolne), miał 1 zbiórkę i 1 asystę. Dla Dziewy sezon ligowy zakończył się i teraz może skupić się na zbliżających się przygotowaniach reprezentacji Polski.

■ W Lidze Śródziemnomorskiej ABA AdmiralBet w wielkim finale spotkały się dwie znane serbskie marki, Partizan i Crvena Zvezda. Zespół Mateusza Ponitki nie zaliczy tej serii do udanych. Wszystkie trzy spotkania wygrała Crvena Zvezda. Meczu numer dwa 80:73, a trzeci 82:76. W tym drugim spotkaniu Ponitka w 18 minut zdobył 4 punkty, miał 5 zbiórek, 2 straty. Kapitan naszej kadry trafił 2/3 z gry (2/2 za dwa punkty, 0/1 za trzy). W ostatnim meczu sezonu nasz zawodnik w 19 minut zdobył 8 punktów (3/4 z gry), miał 4 zbiórki, 2 asysty i 3 przechwyty.

■ W lidze francuskiej Saint Quentin w ćwierćfinale trafił na faworyzowane ASVEL Villeurbanne. Ekipa z Lyonu pierwszy mecz zgodnie z prognozami wygrała 91:75. Dominik Olejniczak był w pierwszej piątce, grał 17 minut. Polski środkowy zdobył 2 punkty przy marnej skuteczności (1/6 z gry), miał 3 zbiórki i 1 blok. Drugi mecz był bardziej zacięty, ale ponownie lepsze było ASVEL 92:89. Olejniczak grał 16 minut, zdobył 10 punktów (5/8 z gry). To koniec sezonu dla niego i Saint Quentin.

■ Play off ruszył w lidze hiszpańskiej. Real Madryt nie miał żadnych problemów w pierwszym spotkaniu z Dreamland Gran Canaria. Królewscy wygrali 105:70. AJ Slaughter w drużynie z Wysp Kanaryjskich spisał się przeciętnie - 5 zdobytych punktów w 16 minut. Nasz rozgrywający miał fatalną skuteczność w rzutach za trzy - 1/7 zza łuku! Miał ponadto 2 asysty. Rewanż na Wyspach Kanaryjskich był bardzo zacięty, ale znów lepsi byli goście - 73:71 dla Realu. Slaughter był na boisku 15 minut, zanotował 3 punkty (1/8 z gry, 0/4 za trzy, 1/2 z osobistych), 1 zbiórkę i 2 asysty. Do półfinału awansował Real. Dla Dreamlandu to koniec sezonu.

(pp)

Pod okiem gwiazd



Fot. Facebook Junior NBA Polska

Hala w Szopienicach gościła najlepsze dziecięce zespoły z południa Polski.

Emocji w miniony weekend nie brakowało.

Liga Junior NBA rozrasta się z każdym rokiem. W tym sezonie w rozgrywkach brało udział blisko 3000 chłopców i dziewcząt w wieku 11-13 lat. W miniony weekend w hali MOSiR-u w Katowicach Szopienicach odbył się Finał lig Jr. NBA South i Jr. NBA Girls. Mistrzostwo wywalczyły ekipy Minnesota Timberwolves/WKK Wrocław (Jr. NBA South) oraz Golden State Warriors/UKS SP 27 Katowice (Jr. NBA Girls). Gwiazdami imprezy byli Ewelina Kobryn (była reprezentacyjna środkowa, mistrzyni WNBA w barwach Phoenix Mercury) oraz Rafał "Lipek" Lipiński, specjalista od koszykarskich wsadów.

Junior NBA wystartowała w Polsce przed trzema laty. Projekt rozwija się znakomicie. w pierwszym sezonie w zawodach uczestniczyło około 500 dzieci, obecnie jest ich 6 razy więcej. Organizatorzy mają kolejne plany. Chcą poszerzyć ligę na całe Wybrzeże - od Trójmiasta do Szczecina. Tak piszą o swoim projekcie: "Jr. NBA to oficjalny program NBA dotyczący udziału w koszykówce młodzieży. Jr. NBA obejmuje bezpłatny, oparty na członkostwie program dla istniejących młodzieżowych lig / organizacji koszykówki. Członkostwo ma pomóc zachęcać i wspierać udział młodzieży w koszykówce na poziomie lokalnym oraz poprawić wizerunek koszykówki wśród młodzieży"

Podczas zawodów przypominają, że w propagowanej przez nich zabawie najważniejsze jest pięć zasad:

- pracowitość, która jest warunkiem doskonalenia swoich umiejętności,
- gra zespołowa, jak wiadomo nawet największa gwiazda sama meczu nie wygra, musi mieć wsparcie drużyny,
- duch sportu, który powinien przyświecać wszystkim uczestnikom,
- szacunek wobec rywali, sędziów, trenerów i rodziców,
- pasja, która nas napędza i pozwala realizować marzenia.

KLASYFIKACJA KOŃCOWA

Junior NBA South
1. Minnesota Timberwolves/WKK Wrocław
2. Toronto Raptors/Sokół Łańcut
3. Orlando Magic/KS Radwan Sport AGH Kraków
4. New Orleans Pelicans/AZS Częstochowa
5. San Antonio Spurs/OneTeam Nysa/Otmuchów
6. Miami Heat/UKS REGIS Wieliczka
7. Los Angeles Lakers/GTK Gliwice
8. Chicago Bulls/UKS SP27 Katowice

Junior NBA Girls
1. Golden State Warriors/UKS SP 27 Katowice
2. Chicago Bulls/MKS Czechowice -Dziedzice
3. Indiana Pacers/MOSIR Bochnia
4. San Antonio Spurs/MUKS Chrobry Basket Głuchołazy

(pp)

Trefl blisko finału

ORLEN BASKET LIGA

Dwa mecze w Sopocie, dwa zwycięstwa Trefla. Rozstawieni z dwójką podopieczni Żana Tabaka są już tylko o jedną wygraną od wielkiego finału. We wtorek w Ergo Arenie dominacja sopocian była jeszcze większa niż dwa dni wcześniej. Trefl trzecią kwartę zaczął od serii 15:2. Miał wtedy 24 punkty przewagi i spotkanie było rozstrzygnięte, na niewiele się zdawały rozpaczliwe przerwy wykorzystywane przez Miodraga Rajkovicia. Gospodarze mieli ogromną przewagę pod względem skuteczności (47 do 38 procent w rzutach z gry, 13 trójek Trefla przy ledwie 5 Śląska). Warto też zwrócić uwagę na znakomitą grę w obronie koszykarzy Trefla, którzy w pierwszym meczu stracili tylko 54 punkty, a w drugim 70. Najbliższe spotkanie tej pary odbędzie się w sobotę w Hali Stulecia we Wrocławiu.

W drugiej parze King Szczecin prowadzi 2-0 ze Spójnią Stargard.

■ **Trefl Sopot - Śląsk Wrocław 88:70 (17:21, 27:12, 26:10, 18:27). stan rywalizacji: 2-0 (do 3 zwycięstw)**
SOPOT: Scruggs 3 (1x3), Best 18 (3x3), Varadi 8 (2x3), Groselle 10, Van Vliet 11 (1x3) - Barnes 6 (2x3), Toczek, Musiał, Gurtatowski 3 (1x3), Witliński 6, Zyskowski 14 (2x3), Schenk 9 (1x3). Trener Żan TABAK.
WROCŁAW: Nunez 13 (1x3), Gravett 13 (1x3), Klassen 11 (1x3), Gołębiowski 6 (1x3), Miletić 10 - Parachowski 2, Kolenda 4, Kulvietis 7 (1x3), Hlebowicki, Pišla 2, Nizioł 2. Trener Miodrag RAJKOVIĆ.

(pp)

ISETIA I MKS W FINALE

KOSZYKÓWKA 3X3

■ Rozegrano dwa turnieje w ramach LOTTO 3x3 Quest. W Solinie najlepszy był zespół ISETIA SK Store (Marcin Wieluński, Damian Cechniak, Krystian Koźluk i Jan Pilszczuk), który w meczu decydującym o pierwszym miejscu pokonał HK Ziomki JS INVEST 21:17. Dzień później w Bydgoszczy triumfowali koszykarze MKS LOTTO 3x3 II Dąbrowa Górnicza (Cezary Karpik, Jacek Gwardecki, Hubert Lewandowski, Jakub Borowski). W finale pokonali Polonię Warszawa. Obie zwycięskie drużyny zapewniły sobie awans do sierpniowego turnieju w Katowicach. Kolejny turniej kwalifikacyjny tego cyklu odbędzie się w najbliższą niedzielę w Ostrowi Mazowieckiej.
W Bydgoszczy odbył się pierwszy w sezonie turniej kobiet w ramach cyklu LOTTO 3x3 Quest. Najlepsze okazały się koszykarki warszawskiej Legii LOTTO 3x3, które zakończyły imprezę z kompletem zwycięstw. W meczu finałowym pewnie pokonały zespół Isetii 21:11. Warszawianki zapewniły sobie udział w turnieju finałowym, który odbędzie się 10-11 sierpnia w Katowicach. Legia grała w składzie: Weronika Papiernik, Jowita Ossowska, Marta Marcinkowska, Marta Stawicka.

(pp)

BĘDZIE STRZELANINA NA WSCHODZIE?

NBA

■ Startują finały konferencji. Z szesnastki drużyn, które zaczynały play off pozostały już tylko cztery. W finale Konferencji Wschodniej spotkają się Boston Celtics i Indiana Pacers. Zdecydowanym faworytem są „Celtowie", którzy byli najlepszym zespołem sezonu zasadniczego. Warto jednak przypomnieć, że niespełna pół roku temu, w grudniu oba zespoły zagrały ze sobą w ćwierćfinale pucharu ligi tzw. In Season Tournament i niespodziewanie to Pacers byli lepsi (122:112), a Tyrese Haliburton popisał się triple double (26 punktów, 10 zbiorek, 13 asyst). W tym sezonie oba zespoły grały ze sobą 5-krotnie, nieco lepszy bilans ma Boston (3-2). Ekipa z Indianapolis to sprawca największej sensacji, rozstawiona z szóstką dotarła do finału. Te finały zapowiadają się na najbardziej ofensywne w historii - Indiana to team z najlepszym atakiem w całej lidze (średnio 123 punkty na mecz), a Boston w tym rankingu zajął drugie miejsce (120 punktów). Pacers zdobyli w tym sezonie minimum 140 punktów aż 11 razy! W finale czeka nas ostra strzelanina. Liderem Celtics jest Jayson Tatum, a Indianie przewodzą Tyrese Haliburton oraz Kameruńczyk Pascal Siakam.
W finale Zachodu zobaczymy Minnesotę oraz Dallas. Nie ma już zespołów rozstawionych z jedynką i dwójką (Oklahoma City oraz Denver). Timberwolves najpierw wyeliminowali Phoenix Suns (4-0), a potem rozprawili się z obrońcami tytułu Nuggets (4-3). Dallas do play offu przystępowali dopiero z piątego miejsca w swojej konferencji. Zespół Luki Doncicia w ćwierćfinałach ograł Los Angeles Clippers (4-2), a w półfinale wyeliminował liderów, Thunder (4-2). Teraz przewagę boiska będą mieć „Leśne wilki", które z 5 spotkań w sezonie zasadniczym z Dallas wygrały 4. Minnesota gra w finale po raz pierwszy od dwudziestu lat i po raz drugi w swojej historii. Jej gra oparta jest na trzech graczach: 22-letnim skrzydłowym Anthony Edwardsie, sześć lat starszym środkowym Karlu-Anthony Townsie oraz znakomitym obrońcy Francuzie Rudym Gobercie. Z drugiej strony zobaczymy super duet Mavericks - Słoweńca Luke Doncicia oraz doświadczonego rozgrywającego Kyrie Irvinga.

TERMINARZ FINAŁÓW

WSCHÓD
- Boston - Indiana (21.05., 23.05.)
- n Indiana - Boston (25.05., 27.05.)
- Boston - Indiana (ew. 29.05.)
- Indiana - Boston (ew. 31.05.)
- Boston - Indiana (ew. 2.06.)

ZACHÓD
- Minnesota - Dallas (22.05., 24.05.)
- Dallas - Minnesota (26.05., 28.05.)
- Minnesota - Dallas (ew. 30.05.)
- Dallas - Minnesota (ew. 1.06.)
- Minnesota - Dallas (ew. 3.06.)

Niepełny rewanż

Polacy, obrońcy tytułu, spotkaniem z Amerykanami zainaugurują dzisiaj Ligę Narodów. Będzie to rewanż za finał ubiegłorocznej edycji.

LIGA NARODÓW MĘŻCZYZN

Przed rokiem w rozegranym w trójmiejskiej Ergo Arenie finale biało-czerwoni pokonali Amerykanów 3:1 i po raz pierwszy w historii wygrali Ligę Narodów. Na rozpoczęcie bieżącej edycji znów zmierzą się z USA (początek godz. 19.00, transmisja w Polsat Sport).

- Niby to będzie rewanż za ubiegłoroczny finał, ale nie do końca. Amerykanie w Turcji nie zagrają w najmocniejszym składzie. W większości będą to debiutanci, którzy mają się ogrywać w Lidze Narodów. Mnie to jednak nie interesuje. Interesuje mnie to, co dzieje się po naszej stronie. Mamy grać i kontynuować naszą pracę – tłumaczył Nikola Grbić, trener naszej drużyny. Serb do Antalyi także nie zabrał największych gwiazd. W fazie interkontynentalnej chce sprawdzić zawodników rezerwowych oraz doprowadzić do wysokiej dyspozycji tych, którzy mają za sobą niezbyt udany sezon klubowy, jak np. Łukasz Kaczmarek, Aleksander Śliwka czy Bartosz Bednorz. Dwóch ostatnich znalazło się w kadrze na pierwszy turniej w Antalyi. Do Turcji polecieli również przyjmujący Kamil Semeniuk i Artur Szalpuk. Na przyjęciu jest to więc jeden z najmocniejszych składów, w jakich biało-czerwoni rozpoczynali Ligę Narodów w ostatnich latach.

- Jest dużo jakości w całej naszej szerokiej kadrze i wygląda to na treningach naprawdę całkiem nieźle - powiedział rozgrywający Grzegorz Łomacz. W Antalyi zaprezentuje się także środkowy Jakub Kochanowski. Podobnie jak Śliwka, jeszcze przed rozpoczęciem zgrupowania w Spale poprosił on trenera, by znaleźć się w kadrze już na pierwszy turniej, bowiem z powodu kontuzji palca stracił sporą część sezonu klubowego i czuje, że potrzebuje więcej czasu, by dojść do optymalnej formy na igrzyska.

Wśród Amerykanów z kolei brakuje m.in. Matthew Andersona, Micaha Christensona czy Toreya DeFalco. Są za to znani z występów w PlusLidze w barwach BBTS Bielsko-Biała i KGHM Cuprum Lubin atakujący Jake Hanes i rozgrywający m.in. Ślepska Malow Suwałki oraz Indykpolu AZS Olsztyn Joshua Tuaniga.

Biało-czerwoni w Antalyi oprócz USA zmierzą się jeszcze z Kanadą Holandią i Słowenią. Dodajmy, że tegoroczna edycja Ligi Narodów jest wyjątkowa bowiem pierwszy raz w historii odgrywa znaczącą rolę w kwalifikacjach olimpijskich. Drużyny, które nie wywalczyły awansu na igrzyska w międzykontynentalnych turniejach w październiku, nie mogą notować potknięć, bo będą je kosztowały utratę punktów w rankingu. Pięć wolnych miejsc w Paryżu zajmą bowiem najwyżej notowane reprezentacje, które jeszcze się nie zakwalifikowały, a także jeden zespół z Afryki.

Żadna afrykańska ekipa nie rywalizuje w Lidze Narodów, więc dla drużyn uczestniczących w tych rozgrywkach pozostały w praktyce cztery przepustki do stolicy Francji. A chętnych jest co najmniej dziewięciu. Wśród nich są m.in. Włosi, w których przypadkubrak wywalczonej w październiku kwalifikacji jest sporą sensacją, a także Argentyńczycy, Słoweńcy czy Serbowie.

Format rozgrywek pozostał taki sam, jak w zeszłym roku - każda z 16 rywalizujących w Lidze Narodów reprezentacji wystąpi w trzech turniejach, w każdym czekają ją cztery mecze. Siedem najlepszych drużyn po fazie zasadniczej, a także Polska jako gospodarz drugi rok z rzędu, wystąpi w turnieju finałowym, który odbędzie się w Łodzi (27-30 czerwca).



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus.

Aleksander Śliwka liczy, że dzięki dużej liczbie gier odzyska wysoką formę.

WYNIKI

Grupa A (Antalya/Turcja)
- **Bułgaria – Francja 0:3 (21:25, 24:26, 14:25)**
- **Turcja – Kanada 1:3 (25:17, 23:25, 21:25, 21:25)**

(mic)

Z Katowic do Częstochowy

Katowiczanie po Jakubie Jaroszu tracą drugi z filarów. 1 czerwca wygasa umowa Sebastiana Adamczyka. Siatkarz nie zdecydował się jej przedłużyć.

GKS KATOWICE

25-letni środkowy do GieKSy trafił w październiku 2022 roku. Z powodu plagi kontuzji w trybie awaryjnym został wypożyczony z PGE Skry Bełchatów. W nowym klubie szybko się odnalazł. Grał znakomicie. Stał się ważną postacią w talii trenera Grzegorza Słabego. Jego dobra postawa została dostrzeżona przez trenera reprezentacji Polski, Nikolę Grbicia, i otrzymał powołanie do szerokiej kadry. Debiut w biało-czerwonych barwach zaliczył w Lidze Narodów.

GKS podpisał z nim umowę do końca sezonu 2023/24, który dla Adamczyka był równie udany. W GKS-ie wystąpił w 22 spotkaniach, w których zdobył łącznie 111 punktów, w tym 29 blokiem. Ponownie też znalazł uznanie w oczach Grbicia. Jego przygoda z katowickim klubem dobiegła jednak końca. Nie przedłużył wygasającej 1 czerwca umowy. Przyjął bowiem propozycję Norwida Częstochowa i w nim będzie kontynuował karierę. - Duży wpływ na tę decyzję miał Łukasz Żygadło (dyrektor sportowy Norwida – przyp. red.), który zadzwonił do mnie i opowiedział o projekcie oraz planach klubu Norwid Częstochowa. Przedstawił mi pomysł na skład, który wydaje się przemyślany i z konkretnym celem. Przychodzę do Częstochowy z dużymi nadziejami, że zaskoczymy niejednego rywala i stworzymy świetną atmosferę w zespole, co miejmy nadzieję przełoży się na wyniki w lidze – powiedział Sebastian Adamczyk. Dla reprezentacyjnego środkowego sezon 2024/25 będzie szóstym, który rozegra w PlusLidze.

Dobrą informacją dla fanów GieKSy jest natomiast przedłużenie umów z atakującym Damianem Domagałą i Bartoszem Mariańskim. - Bardzo się cieszę , że Damian zostaje z nami na kolejny sezon. To atakujący z olbrzymim potencjałem, który wchodzi w najlepszy wiek dla siatkarza. Jestem przekonany, że nadchodzący sezon będzie dla niego kolejnym etapem rozwoju kariery – powiedział dyrektor siatkarskiej sekcji GKS-u, Jakub Bochenek. - Bartek z kolei to już grająca ikona GKS-u, której nikomu nie trzeba przedstawiać. Ogromnie się cieszę, że zostaje z nami w kolejnym sezonie, który zapowiada się na wyjątkowo trudny. Taka postać jak Bartosz, ze swoim doświadczeniem i świetną osobowością, będzie nam bardzo potrzebna, by osiągnąć jak najlepszy rezultat – dodał.

Dodajmy, że wcześniej na pozostanie w GieKSie zdecydował się też Łukasz Usowicz.

(mic)

Przebudowa rozpoczęta

W Będzinie trwa konstruowanie drużyny na nowy, plusligowy sezon. Pojawił się w niej nowy środkowy.

MKS BĘDZIN

Będzinianie po zwycięskim finale z BBTS-em Bielsko-Biała, po trzech latach przerwy, wrócili do elity. Czeka ich jednak bardzo trudne zadanie, bo po tym sezonie PlusLiga zostanie zmniejszona do 14 zespołów. To oznacza, że spadną z niej aż trzy ekipy.

Kadra MKS-u w lecie przejdzie rewolucję. Tuż po zakończeniu rozgrywek działacze ogłosili odejście siedmiu graczy: Daniela Popieli, Mateusza Rećko, Łukasza Swodczyka, Bartosza Pietruczuka, Jakuba Kaliszuka, Marcina Krawieckiego oraz Fabiana Majcherskiego. Z klubem pożegnał się też trener Wojciech Serafin, który ma pełnić funkcję dyrektora sportowego w Grupie Azoty ZAKSIE Kędzierzyn-Koźle. Zastąpić go ma doświadczony Australijczyk Mark Lebedew, który w naszym kraju jest doskonale znany. Prowadził m.in. Jastrzębski Węgiel, Aluron CMC Wartę Zawiercie oraz Gwardię Wrocław.

Z zawodników, którzy wywalczyli awans w Będzinie zostają: rozgrywający Grzegorz Pająk, przyjmujący Dominik Depowski i Brandon Koppers, libero Maciej Olenderek oraz środkowi Mateusz Siwicki i Artur Ratajczak. Nową twarzą jest natomiast Bartłomiej Wójcik. Środkowy ma znakomity warunki fizyczne. Mierzy 210 cm i będzie najwyższym siatkarzem w historii MKS-u. W poprzednim sezonie występował w pierwszoligowym PSG KPS Siedlce. Łącznie w jego barwach wystąpił w 29 spotkaniach, w których zdobył 138 punktów. Wcześniej grał w Czarnych Radom, Olimpii Sulęcin oraz BAS-ie Białystok.

Będzinianie są też blisko podpisania umów z Mateuszem Szpernałowskim (PSG KPS Siedlce) oraz Adrianem Kopijem (BBTS Bielsko-Biała). Interesują się również Patrykiem Szwaradzkim z Arki Chełm i Damianem Schulzem z Bogdanki LUK Lublin. Gdyby tego ostatniego udało się im namówić do przyjścia do MKS-u, byłby to hit transferowy. Atakujący ma bowiem za sobą znakomity sezon. To m.in. dzięki jego świetnej postawie klub z Lublina zakończył rozgrywki na wysokim, piątym miejscu.

(mic)

POWRÓT TRENERA

■ Mariusz Sordyl został szkoleniowcem Trefla Gdańsk. Podpisał kontrakt na trzy lata. Zastąpił Chorwata Igora Juricica, który prowadził gdański zespół w dwóch poprzednich sezonach i zajął z nim w ekstraklasie szóste miejsca. - Dwa ostatnie sezony były dla nas udane, bo zajęliśmy szóste miejsca. To duży sukces, ale zmieniliśmy trochę koncepcję i zaczynamy budować zgodnie z hasłem „Dobre co polskie". Chcemy pokazać, że polscy trenerzy też mogą coś wygrać. Cieszę się, że Mariusz po wielu latach rozłąki wraca do Polski – powiedział prezes Trefla, Dariusz Gadomski. Sordyl występował w AZS Olsztyn, Beskidzie Andrychów, Resovii, Legii Warszawa i Stolarce Wołomin oraz w klubach francuskich. 145 razy wystąpił w reprezentacji Polski. Jako trener pracował w Olsztynie, Rumunii, Turcji (był m. in. szkoleniowcem Fenerbahce), Katarze i na Ukrainie, prowadził również reprezentację Polski juniorów. Do kraju, jako trener, wraca po 13 latach. - Trafiam do uroczego miasta z wielką historią, zatem jest to wymarzone miejsce do pracy i życia. Wracam ogromnie zmotywowany, bo przez ostatnie lata bardzo ciężko pracowałem na to, aby nadal być trenerem. Gdybym nie wyjechał wówczas z Polski dzisiaj nie pracowałbym w tym zawodzie – przyznał Mariusz Sordyl.

(mic)

Wyboista droga

NHL

Edmonton Oilers awansowali do finału Konferencji Zachodniej, ale droga do niego nie była łatwa. Po serii nieudanych występów Jay Woodcorft stracił stanowisko głównego trenera i zastąpił go Kris Knoblauch. Owszem, zespół miał potencjał, ale największy problem stanowiła gra defensywna. Nowy szkoleniowiec wszystkie klocki odpowiednio poukładał i w rezultacie „Nafciarze" zaczęli wygrywać. W Konferencji Zachodniej zajęli 5. miejsce, zaś w Dywizji Pacyfiku drugie za Vancouver Canucks. I właśnie z tym zespołem stoczyli wyrównaną rywalizację o finał. Vancouver w ostatnim meczu przegrał z Edmonton 2:3 (0:0, 0:3, 2:0) i całą rywalizację 3-4.

„Nafciarze" przegrywali w serii 2-3, ale na własnym lodzie wygrali 5:1. W ostatniej potyczce w Vancouver był prawdziwy bój, a jego losy ważyły się do końcowej syreny. Ryan Nugnet-Hopkins strzelił gola (36 min, w przewadze), jak się później okazało decydującego. A ponadto asystował przy trafieniu Zaccha Hymana (26), dla którego była to 11. bramka w tym play offie i jest liderem najskuteczniejszych strzelców w tej części sezonu. Listę strzelców otworzył Cody Ceci (22). Stuart Skinner obronił 15 strzałów i w ostatniej odsłonie został pokonany przez Conora Garlanda (52) i Filipa Hronka (56). Łotysz Arturs Silovs, 21-letni bramkarz gospodarzy miał 26 skutecznych interwencji. W pierwszej tercji obronił 13 strzałów i utrzymał zespół w grze, ale później było już nieco gorzej. Na 14 uderzeń przepuścił trzy gole. W ostatniej odsłonie goście skupili się na obronie i tylko 2 razy zatrudnili Łotysza.

„Nafciarze" w nocy z czwartku na piątek rozegrają pierwszy finałowy mecz na wyjeździe z Dallas Stars.

ĆWIERĆFINAŁ PUCHARU STANLEYA

Konferencja Zachodnia:
Vancouver – Edmonton 2:3, stan rywalizacji 3-4 i awans Edmonton.

(ws)

Pozostał tylko żal...



Włodzimierz Sowiński z Ostrawy

Straciliśmy wyjątkową, może niepowtarzalną szansę pozostania w doborowym towarzystwie dłużej niż przez sezon.

Wiele pochwał i komplementów otrzymali polscy hokeiści podczas mistrzostw świata Elity w Ostrawie i Pradze. Do pełni szczęścia zabrakło jedynie utrzymania się w doborowym gronie. O spadku zadecydował, choć wcale nie musiał, ostatni mecz z Kazachstanem, przegrany 1:3. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie można dopuścić, by pożegnalny występ decydował o wszystkim. Były okazje, by tak się nie stało. Jednak stało się i pozostał żal...



Fot. PAP/Jarek Praszkiewicz

Po ostatniej syrenie biało-czerwoni dziękowali kibicom w Ostravar Arena za mocne wsparcie.

Orły walczące

- My nie jedziemy spełniać marzenia, tylko walczyć o punkty w każdym meczu - te słowa wypowiedział Grzegorz Pasiut przed wyjazdem do Ostrawy. I trzeba przyznać, że hokeiści dotrzymali słowa, bo w każdym meczu, poza jednym fragmentem, starali się jak mogli. Przegrana, choć wynik mógł być lepszy, z Łotwą 4:5 po dogrywce była iskierką nadziei na pozostanie w Elicie. 1:5 z renomowaną Szwecją nie odzwierciedla tego, co się działo na lodzie. A potem biało-czerwoni zanotowali koszmarne 30 min z Francją, przegrane 0:4. Potem nieco się odbudowali, zdobyli dwa gole, ale nie byli w stanie, przy tej klasie rywala, odrobić straty. Ta porażka zabolała, ale kolejne dobre, choć przegrane, występy ze światową czołówką - ze Słowacją 0:4, z USA 1:4 i z Niemcami 2:4 - dały nadzieję na korzystny rezultat z Kazachami.

- Jestem wściekły, rozczarowany, bo przecież całe sportowe życie czekałem na tę chwilę, a przegraliśmy decydujący mecz - powiedział Pasiut. - Wyszliśmy na prowadzenie, mieliśmy kolejne szanse, ale rywal miał za sobą większe doświadczenie w grach o wysoką stawkę w Elicie. Kazachowie nie grali nic wymyślnego, a gole zdobywali w prosty sposób. Boli mnie, że zdobyliśmy tylko jedną bramkę, bo to stanowczo za mało, by się utrzymać w tym towarzystwie. Chcieliśmy młodszym kolegom stworzyć warunki, by mogli występować na wyższym szczeblu, podnosić swoje kwalifikacje. Nie wiem co będzie po turnieju, bo doświadczeni zawodnicy będą podejmowali decyzje, czy chcą kontynuować grę w reprezentacji. Wiekowi, jak nazywacie nas, zawodników 35+, wcale nie odbiegaliśmy przygotowaniem fizycznym od najlepszych. Myśmy zapłacili wysoką cenę za nieobecność ponad dwie dekady w elicie. A co do mnie, to muszę ochłonąć po tym, co tutaj się wydarzyło i przemyśleć pewne sprawy.

John Murray, Pasiut i Dominik Paś otrzymali wyróżnienia dla najlepszych zawodników polskiego zespołu. Ten ostatni mile zaskoczył dojrzałą grą, choć brakowało mu trochę szczęścia w sytuacjach podbramkowych.

- Przede wszystkim chciałbym podziękować kibicom, którzy nas wspierali w każdym meczu - zaczął sympatyczny napastnik z Jastrzębia, który, jak nam się wydaje, wyfrunie z macierzystego gniazda. - Byliśmy w szoku, bo większość z nas grała po raz pierwszy przy tak licznej widowni i tak głośnym dopingu. No, cóż otrzymaliśmy surową lekcję nie tylko od Kazachów, choć mogliśmy uniknąć porażki w tym ostatnim meczu. Owszem, odczarowaliśmy niewykorzystane przewagi, ale jedno trafienie to zdecydowanie za mało. Mogliśmy zdobyć punkty z Łotwą, a i Francja była w naszym zasięgu. A wówczas mecz z Kazachstanem nie miałby znaczenia. Stało się inaczej i już teraz trzeba myśleć o powrocie do elity...

Dumny z zawodników

Reprezentacja pod kierunkiem trenera Roberta Kalabera oraz jego współpracowników dokonała skoku jakościowego. Biało-czerwoni w końcu opuścili dywizję „wstydu" 1B, a w kolejnym sezonie z marszu awansowali do elity. Teraz byli blisko utrzymania się w tym mocnym towarzystwie.

- Blisko i zarazem daleko - wpada w słowo słowacki szkoleniowiec. - Kazachowie przewyższali nas umiejętnościami technicznymi, mieli kontrolę nad krążkiem i, co najważniejsze, potrafili wykorzystać nasze błędy. Oczywiście, pozostaje smutek i żal, że spadamy, ale jestem dumny z tej drużyny, bo pokazała charakter i zostawiła serce na tafli. Zabrakło nam indywidualności, a w każdym zespole takie były. Byłoby fajnie, gdyby nasi zawodnicy wyjeżdżali do zagranicznych klubów. To jednak jest praca na lata. Najbardziej żałuję, że nie zdobyliśmy punktów z Łotwą, bo była nadzwyczajna okazja, żeby odnieść zwycięstwo. Gdyby tak się stało, nabralibyśmy pewności siebie i losy turnieju może potoczyłyby się inaczej. A po chwili zastanowienia dodał: - Jestem zadowolony z tego jak wyglądała nasza gra. Z USA zagraliśmy świetne spotkanie, szeroko komentowane w kuluarach mistrzostw. Przez większość meczu graliśmy jak równy z równym z reprezentacją złożoną z zawodników NHL. Amerykanie musieli się solidnie napracować, by odnieść zwycięstwo. Chcemy za rok wrócić do tego grona. Wiemy, że w drużynie nastąpią zmiany, ale nie pytajcie mnie o szczegóły, bo je poznamy nieco później. Do Ostrawy wybrałem optymalny skład (słowaccy dziennikarze przypomnieli brak Arona Chmielewskiego - przyp. red.) i o tym jestem przekonany, więc ucinam wszelkie dyskusje. Aron nie był w optymalnej formie i stąd też jego nieobecność. To przecież ja wraz ze współpracownikami pracuję na co dzień z zawodnikami i znam ich doskonale. Potrzebowaliśmy graczy potrafiących szybko się przemieszczać i walczących do końca. Tym właśnie mogliśmy nadrobić braki jakie mamy w porównaniu z innymi drużynami.

W kuluarach pojawiła się informacja jakoby Kalaber miał opuścić reprezentację i to było dość zaskakujące. Słowacki szkoleniowiec ma jeszcze 2-letni kontrakt z JKH GKS-em Jastrzębie oraz do końca przyszłego sezonu międzynarodowego z reprezentacją. Gdy Kalaber usłyszał te słowa, z uśmiechem odpowiedział: - W tym zawodzie człowiek niczego nie może być pewien. Oczywiście, chciałbym dalej pracować z kadrą, ale spotkamy się ze związkowymi działaczami i będziemy omawiać strategię pracy, by wrócić na najwyższy szczebel.

To była dobra propaganda hokeja nie tylko przez biało-czerwonych, ale również przez telewizję Polsat, która miała prawa do transmisji mistrzostw. I należy tylko żałować, że rozgrywki ligowe są traktowane po macoszemu przez publiczną telewizję, która ma jeszcze przez rok umowę z PZHL. Mirosław Minkina, szef związkowej centrali, poinformował, że Polska i Rumunia będą się starały o organizacje turnieju Dywizji 1A w przyszłym roku. Decyzje zapadną w najbliższy piątek.

SKANDYNAWSKIE DERBY

W ćwierćfinałowych meczach hitowo zapowiadają się derby Skandynawii – mecz Szwecji z Finlandią w Ostrawie. Szwedzi byli bezkonkurencyjni w grupie B, zaś Finowie z trudem się dostali się do drugiej części turnieju. Pozostałe pary tworzą: Kanada – Słowacja, Szwajcaria – Niemcy, Czechy – USA.

Grupa A

Austria – Wielka Brytania 2:4 (0:0, 1:1, 1:3)
1:0 – Unterweger – Zwerger – Haudum (22:40, w przewadze), 1:1 – O'Connor – Lake (27:44, w podwójnej przewadze), 1:2 – Perlini – Dowd – O'Connor (41:59), 1:3 – Mosey – Duggan – Tetlow (50:25), 1:4 – Dowd – Perlini (55:31, do pustej), 2:4 – Huber – Haudum – Zwerger (59:15).
Kary: Austria – 8 min, Wlk. Brytania – 10 min.

Kanada – Czechy 4:3 (0:0, 0:0, 3:3, 1:0) po dogrywce
1:0 – Cozens – Power – Paul (41:01, w przewadze), 1:1 – Kubalik – Necas – Sedlak (49:11), 2:1 – Mercer – Severson (51:01), 3:1 – Hagel – Tavares (55:42), 3:2 – Palat – Spacek – Cervenka (56:56, 6 na 5), 3:3 – Cervenka – Necas – Spacek (58:11), 4:3 – Cozens (63:13, w osłabieniu)
Kary: Kanada- 6 min, Czechy – 4 min.

Finlandia – Szwajcaria 1:3 (0:0, 1:2, 0:1)
0:1 – Fiala – Loeffel (25:14), 0:2 – Glauser -Niederreiter – Fiala (27:26), 1:2 – Innala – Granlund – Lehtonen (37:51, w przewadze), 1:3 – Fiala – Niederreiter (56:33)
Kary: Finlandia – 29 (w tym kara meczu dla Granlunda) min, Szwajcaria – 2 min.

1. Kanada	7	19	32:18
2. Szwajcaria	7	17	29:12
3. Czechy	7	16	26:14
4. Finlandia	7	10	21:14
5. Austria	7	7	21:29
6. Norwegia	7	6	15:25
7. Dania	7	6	15:29
8. Wlk. Brytania	7	3	12:30

Grupa B

Francja – Niemcy 3:6 (1:1, 2:3, 0:2)
1:0 – Claireaux – Addamo – Perret (16:49), 1:1 – Michaelis – Kahun – Ehliz (19:04), 2:1 – Rech – Boudon – Chakiachvili (21:09), 2:2 – Kalble – Stachowiak – Peterka (25:56), 3:2 – Treille – T. Bozon – Guebey (26:18), 3:3 – Stachowiak – Reichel (31:01), 3:4 – Kstner – Michaelis – Szuber (31:23), 3:5 – Stachowiak – (41:19), 3:6 – Reichel – Sturm Pfoderl (44:50, w przewadze).
Kary: Francja – 16 min, Niemcy – 29 (kara meczu dla Tiffelsa) min

Łotwa – USA 3:6 (0:2, 1:1, 1:3)
0:1 – Tkachuk – Caufield (1:23), 0:2 – Werenski – Caufield – Pinto (13:20), 0:3 – Caufield – Voldy – Tkachuk (22:34), 1:3 – Krastenbergs – Tralmaks – Gudlevskis (23:35), 1:4 – Boldy – Werenski – Jones (40:15), 2:4 – Tralmaks – Zile – Roberts (44:44), 3:4 – Mamcics – Dugavins (45:00), 3:5 - Caufield – Pinto (48:46), 3:6 – Farabee (59:15, w osłabieniu i do pustej).
Kary: Łotwa – 12 min, USA - 18 min

Szwecja – Słowacja 6:1 (1:0, 3:0, 2:1)
1:0 – Raymond – Hedman – Kempe (2:20, w przewadze), 2:0 – Karlsson – Holmberg – Raymon (27:31), 3:0 – Burakovsky – Karlsson – Zetterlund (32:28), 4:0 – Lindestrom – Olofsson (33:15). 5:1 – Eriksson Ek – Brdin (49:15, w osłabieniu), 5:1 – Ivan – Tatar – Slafkovsky (50:49), 6:1 - Eriksson Ek – Karlsson (57:35).
Kary: Szwecja – 10 min, Słowacja – 12 min

1. Szwecja	7	21	35:9
2. USA	7	16	37:16
3. Niemcy	7	15	34:24
4. Słowacja	7	12	26:23
5. Łotwa	7	9	19:29
6. Kazachstan	7	6	12:31
7. Francja	7	4	13:26
8. POLSKA	7	1	11:29

Mecze ćwierćfinałowe rozegrane zostaną jutro w Ostrawie i Pradze.

Sport 8603e6c335

Z KORTÓW

KAWA GRA DALEJ

■ Katarzyna Kawa pokonała Czeszkę Gabriela Knutson 6:2, 6:4 w pierwszej rundzie kwalifikacji do wielkoszlemowego turnieju French Open w Paryżu. Aby znaleźć się w zasadniczej części zmagań musi wygrać jeszcze dwa spotkania.
Kawa, klasyfikowana na 189. miejscu na liście WTA, potrzebowała 26 minut, aby wygrać pierwszego seta. Zawodniczki na początku meczu solidarnie przegrały swoje podanie. Później stopniowo zaczęła zarysowywać się przewaga Polki. Czeszka (180.) częściej popełniała niewymuszone i podwójne błędy serwisowe. Podobnie było w drugiej partii, trwającej trzy kwadranse. Polka wykorzystała pierwszą piłkę meczową. W drugiej rundzie Kawa zmierzy się z rozstawioną z „20" Brazylijką Laurą Pigossi (119. WTA).

DOBRY POCZĄTEK ZIELIŃSKIEGO

■ Najwyżej rozstawieni Jan Zieliński i Hugo Nys z Monako wygrali z Czechami Tomasem Machacem i Petrem Nouzą 4:6, 7:5, 10-7 w pierwszej rundzie debla turnieju ATP 250 w Genewie. Pierwotnie polsko-monakijski duet miał na początek rywalizować ze Sriramem Balajim z Indii oraz Francuzem Nicolasem Mahutem, ale ci wycofali się z turnieju. W ćwierćfinale Zieliński i Nys zmierzą się z Ekwadorczykiem Gonzalo Escobarem i Kazachem Aleksandrem Niedowiesowem.
W singlu w Genewie startuje m.in. zmagający się z kryzysem formy lider światowego rankingu, Novak Djoković. Serb ma w ten sposób sprawdzić się przed rozpoczynającym się w niedzielę wielkoszlemowym French Open w Paryżu, gdzie będzie bronił tytułu.
W Szwajcarii w pierwszej rundzie miał wolny los, a w drugiej zmierzy się z Niemcem Yannickiem Hanfmannem, który wyeliminował we wtorek innego weterana - Brytyjczyka Andy'ego Murraya.

Trochę kasy zarobiła...

Angelika Szymańska zdobyła srebrny medal mistrzostw świata w Abu Zabi.



Fot. PAP/EPA

Dla Angeliki Szymańskiej (na górze) wicemistrzostwo świata to największy sukces w karierze.

Polka w finale rywalizacji w kategorii 63 kg przegrała przez waza-ari z Holenderką Joanne van Lieshout. To 36. krążek biało-czerwonych wywalczony w historii tej imprezy. Do tej pory największym sukcesem zawodniczki KS Judo Szczepańska Team Włocławek był brązowy medal mistrzostw Europy wywalczony na jesieni ub.r. w Montpellier.

Szymańska, która już wcześniej zapewniła sobie kwalifikację olimpijską, w tym roku ograniczyła liczbę startów przed igrzyskami. Przed mundialem wystąpiła tylko w jednym turnieju. W marcowym Grand Slam w Tbilisi zajęła drugie miejsce. Bezpośredni okres przygotowawczy spędziła na zgrupowaniach w Japonii i w Spale. Podopieczna srebrnej medalistki igrzysk olimpijskich (1996) Anety Szczepańskiej w sumie w Abu Zabi stoczyła pięć walk. W pierwszej rundzie miała wolny los. W drugiej kolejno pokonała przez ippon Wenezuelkę Anriquelis Barrios, Kazaszkę Esmigul Kujulową, a w pojedynku o zwycięstwo w grupie trzecią zawodniczkę światowego rankingu, Australijkę Kataharinę Haecker. W półfinale Polka zmierzyła się ze Słowenką Andreją Leski, którą także pokonała przez ippon. Finałowa rywalizacja z Holenderką van Lieshout była bardzo wyrównana. Rywalka otrzymała od sędziów ostrzeżenie, ale pół minuty przed końcem wykonała akcję zaliczoną jako waza-ari. Szymańska później nie była już w stanie odmienić losów walki. Polka za srebrny medal otrzyma od organizatorów 16 tys. dolarów i 1400 punktów do rankingu.

We wtorek walczyło dwoje innych reprezentantów Polski. W wadze 63 kg rywalizowała również Natalia Kropska, która w pierwszej rundzie przez ippon pokonała wyżej notowaną Niemkę Denę Pohl. W drugiej uległa przez ippon Francuzce Clarisse Agbegnenou, późniejszej brązowej medalistce turnieju. Paweł Drzymał (81 kg) już w pierwszej rundzie został pokonany (ippon) przez Austriaka Wachida Borchashviliego. Zawodnik Czarnych Bytom tym samym przekreślił swoje szanse na wywalczenie przepustki na igrzyska do Paryża.

Dziś zaprezentują się trzy Polki. W kat. 70 kg wystąpią dwie z nich. Katarzyna Sobierajska (32.) w pierwszej rundzie miała wolny los. W następnej powalczy z lepszą z pary, którą stanowią Portugalka Tais Pina (25.) i Marokanka Asmaa Niang (48.). Eliza Wróblewska (33.) w tej samej wadze w pierwszej rundzie za rywalkę będzie miała Jamajkę Ebony Drysdale Daley (59.). W kat. 78 kg wystąpi Beata Pacut-Kłoczko, która jako jedyna z polskiej ekipy zgłoszonej do tegorocznych MŚ miała medal wywalczony w imprezie tej rangi. Dwa lata temu w Taszkiencie stanęła na trzecim stopniu podium. Mistrzyni Europy w 2021 roku w pierwszej rundzie ma wolny los, podobnie jak jej rywalka w drugiej, startująca w statusie neutralnym Rosjanka Nadieżda Tatarczenko.

MEDALIŚCI

Mężczyźni

81 kg: 1. Tato Grigalashvili (Gruzja), 2. Timur Arbuzow (neutralny, Rosja), 3. Joonhwan Lee (Korea Płd.), Somon Machmadbekow (Tadżykistan)

Kobiety

63 kg: 1. Joanne van Lieshout (Holandia), 2. ANGELIKA SZYMAŃSKA, 3. Laura Fazliu (Kosowo), Clarisse Agbegnenou (Francja). Natalia Kropska odpadła w 2. rundzie

Wielki zawód w Lucernie

WIOŚLARSTWO

Nie udało się polskim reprezentantom wywalczyć w Lucernie ani jednej przepustki olimpijskiej w interkontynentalnych regatach kwalifikacyjnych. W tej sytuacji w Paryżu wystąpią tylko dwie polskie osady - męska czwórka podwójna oraz kobieca dwójka podwójna wagi lekkiej.

W Szwajcarii tradycyjnie już przed igrzyskami rozegrano „regaty ostatniej szansy", których stawką były bilety do Paryża. Polska federacja desygnowała do rywalizacji siedem załóg, ale żadnej nie udało się zająć miejsca premiowanego awansem, czyli w czołowej dwójce.

Cztery osady popłynęły we wtorkowych finałach, przy czym kobiece czwórki ze względu na małą liczbę zgłoszonych ekip, nie musiały walczyć w eliminacjach. Czwórka bez sterniczki w składzie: Zuzanna Lesner, Weronika Kaźmierczak, Kinga Stałęga i Anna Potrzuska zajęły czwartą lokatę, a wygrały Irlandki przed Dunkami. Polki do drugiego miejsca straciły bardzo dużo, aż 16 sekund. W finale czwórek podwójnych biało-czerwone: Dominika Baranowska, Anna Khlibenko, Marta Wieliczko, Barbara Jęchorek finiszowały na piątej pozycji, ponad 10 sekund za zwyciężczyniami Amerykankami oraz drugimi na mecie Ukrainkami. Na igrzyskach nie wystąpi także dwójka podwójna wagi lekkiej. Jerzy Kowalski z Daniel Gałęza zajęli czwartą lokatę; wygrali Francuzi przed Grekami. W dwójce podwójnej o bilet do Paryża walczyły Jessika Sobocińska i Zuzanna Jasińska, które jeszcze niedawno rywalizowały w kategorii lekkiej. Polki były szóste, przypływając 16 sekund za triumfatorkami wyścigu Czeszkami. Przepustkę olimpijską uzyskała też druga na finiszu Wielka Brytania.

Pozostałe polskie załogi nie zakwalifikowały się do finału. Weronika Kalinowska była szósta w finale B (12. lokata), Piotr Płomiński zajął drugie miejsce w finale B (8. lokata), a w repasażu odpadła męska czwórka bez sternika (Tomasz Lewicki, Mikołaj Burda, Mateusz Wilangowski, Michał Szpakowski). 41-letni Burda miał szansę wystąpić na swoich szóstych igrzyskach olimpijskich.

W Paryżu wystąpi męska czwórka podwójna (Dominik Czaja, Mateusz Biskup, Mirosław Ziętarski i Fabian Barański), która zakwalifikowała się podczas ubiegłorocznych mistrzostw świata. Z kolei Martyna Radosz i Katarzyna Wełna uzyskały awans w kwietniu na kontynentalnych regatach kwalifikacyjnych. Indywidualne nominacje na igrzyska nie zostały jeszcze przyznane.

Na IO w Tokio Polska zakwalifikowała sześć załóg i zdobyła jeden medal - kobieca czwórka podwójna zdobyła wicemistrzostwo olimpijskie.

(PAP)

36

MEDALI zdobyli dotąd Polacy w MŚ - sześć złotych, pięć srebrnych i 25 brązowych. Najlepszym dorobkiem w MŚ spośród biało-czerwonych legitymuje się Beata Maksymow, która wywalczyła dwa złote i trzy brązowe medale. Oprócz niej dwukrotnie po tytuł sięgnęli Paweł Nastula i Rafał Kubacki.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 22 MAJA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń

TVP SPORT
18.55 Futsal: Fogo Futsal Ekstraklasa, Constract Lubawa - Rekord Bielsko-Biała (na żywo), 22.00 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1
11.40 Piłka nożna: Tottenham - Newcastle towarzysko, 17.00 Siatkówka: Liga Narodów mężczyzn, USA - Polska, 22.20 Niemcy - Włochy, 1.50 Iran - Serbia (na żywo)

POLSAT SPORT 2
15.50 Siatkówka: Liga Narodów mężczyzn, Holandia – Słowenia, 19.50 Piłka ręczna: ekstraliga kobiet, Zagłębie Lubin - FunFloor Lublin (na żywo)

EUROSPORT 1
12.15 Kolarstwo: 17. etap Giro d'Italia, Selva di Val Gardena - Passo del Brocon (na żywo)

CANAL+ SPORT
2.30 Koszykówka: play off NBA (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
11.00, 17.30 Tenis: 2. runda WTA w Strasburgu (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
18.25 Żużel: liga duńska, Team Fjelsted - Holsted Tigers (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-013 Katowice, ul. Dyrekcyjna 10/5
Szef redakcji/Redaktor naczelny Andrzej WASIK
Sekretariat: tel. 32 258 72 07
Redaktor wydania Andrzej WASIK
Sekretariat techniczny 32 258 72 70
Dział piłki nożnej: 32 258 73 18
e-mail: redakcja@dziennik sport.com.pl
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

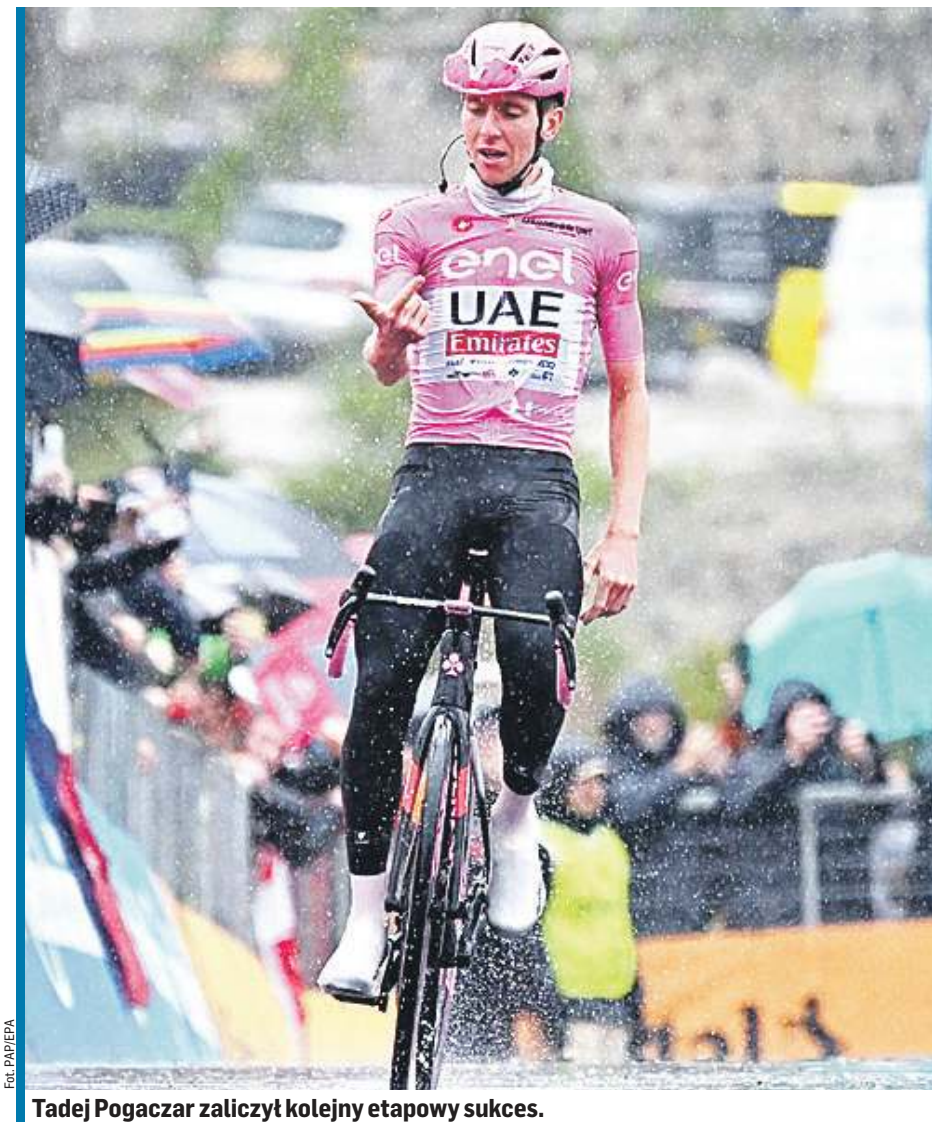
Sport 8603e6c335

Rafał Majka pomógł liderowi

Piąte etapowe zwycięstwo Tadeja Pogaczara w tegorocznym Giro d'Italia.

Prowadzący w klasyfikacji generalnej Tadej Pogacar (UAE Team Emirates) wygrał skrócony 16. etap - długości 118,7 km - z Laas do wzniesienia Monte Pana w Santa Cristina Valgardena. Na ostatnich kilometrach, na podjeździe pod Monte Pana, „ciągnięty" do około dwóch kilometrów przed metą przez Rafała Majkę Słoweniec odłączył się od peletonu i po kolei wyprzedził czterech kolarzy z ucieczki. Polak ukończył etap na 24. pozycji ze stratą dwóch minut i sekundy.

- Tak naprawdę wcale nie zakładaliśmy dzisiaj walki o zwycięstwo na etapie. Ale skoro inne teamy nas ciągnęły, to powiedzieliśmy sobie: Czemu nie? Możemy spróbować. Na ostatnim podjeździe udało nam się pojechać trochę szybciej. Widziałem Tadeja za mną i robota została wykonana. Tadej nawet mówił mi, żebym to ja jechał po wygraną, ale trochę go już ciągnąłem i byłem zmęczony, więc powiedziałem mu: Jedź, wygraj sobie kolejny etap - relacjonował Rafał Majka na antenie Eurosportu.



Fot. PAP/EPA

Tadej Pogaczar zaliczył kolejny etapowy sukces.

Jednym z kolarzy z ucieczki był reprezentant gospodarzy Giulio Pellizzari (VF Group-Bardiani CSF), który ostatecznie zajął drugie miejsce ze stratą 16 sekund. Trzeci z takim samym czasem był Kolumbijczyk Daniel Felipe Martinez (Bora-hansgrohe), który został wiceliderem klasyfikacji generalnej. 20-letni Pellizzari na mecie podszedł do zwycięzcy, aby pogratulować mu kolejnej wygranej, a w odpowiedzi Słoweniec podarował Włochowi swoje okulary i różową koszulkę lidera, w której wystąpił we wtorek.

- Byłem przekonany, że Pellizzari wygra ten etap. Było blisko, ale cieszę się, że dojechał na drugim miejscu. Bardzo podziwiam go za to, jak prezentuje się w tym Giro. Ostatnio przysłał mi zdjęcie ze Strade Bianche z 2019 roku. On był małym chłopcem, ja sam zresztą też, ale to bardzo miłe wspomnienie. Teraz jest bardzo silny i może nawet wygra jakiś etap w tym tygodniu - chwalił młodszego kolegę 25-letni Tadej Pogaczar.

To piąte etapowe zwycięstwo Słoweńca w bieżącej edycji wyścigu. W klasyfikacji generalnej ma już 7.18 przewagi nad Martinezem. Na trzecie miejsce spadł Brytyjczyk Geraint Thomas (Ineos Grenadiers), który ma czas gorszy od Pogaczara o 7.40.

Trasa 16. etapu została skrócona o ok. 80 km z powodu niekorzystnych warunków pogodowych. Peleton pierwotnie miał przejechać przez położoną na granicy Włoch i Szwajcarii przełęcz Umbrail, ale tam temperatura tylko nieznacznie przekraczała zero stopni Celsjusza, a do tego miały wystąpić opady śniegu. Kolarze zagrozili, że nie wystartują, jeśli organizatorzy nie zmienią trasy.

Dziś peleton pokona 159 km na górskim etapie z Selva di Val Gardena do Passo Brocon. Wyścig zakończy się w niedzielę w Rzymie.

16. ETAP, LAAS - SANTA CRISTINA VALGARDENA, 118,7 KM

1. Tadej Pogaczar (Słowenia/UAE Team Emirates)	2:49:37
2. Giulio Pellizzari (Włochy/VF Group-Bardiani CSF)	strata 16 s
3. Daniel Felipe Martinez (Kolumbia/Bora-hansgrohe)	ten sam czas
4. Christian Scaroni (Włochy/Astana Qazaqstan)	31
5. Antonio Tiberi (Włochy/Bahrain Victorious)	33
6. Thymen Arensman (Holandia/Ineos Grenadiers)	38
7. Damian Caruso (Włochy/Bahrain Victorious)	39
8. Michael Storer (Australia/Tudor)	42
9. Ewen Costiou (Francja/Arkea-B&B Hotels)	ten sam czas
10. Valentin Paret-Peintre (Francja/Decathlon-AG2R)	45
...	
24. RAFAŁ MAJKA (UAE Team Emirates)	2.01
142. STANISŁAW ANIOŁKOWSKI (Cofidis)	29.01

KLASYFIKACJA GENERALNA

1. Tadej Pogaczar	59:01.09
2. Daniel Felipe Martinez	strata 7.18
3. Geraint Thomas (Wielka Brytania/Ineos Grenadiers)	7.40
4. Ben O'Connor (Australia/Decathlon-AG2R La Mondiale)	8.42
5. Antonio Tiberi	10.09
6. Thymen Arensman	10.33
7. Romain Bardet (Francja/DSM-firmenich)	12.18
8. Filippo Zana (Włochy/Jayco AlUla)	12.43
9. Einer Rubio (Kolumbia/Movistar)	13.09
10. Jan Hirt (Czechy/Soudal Quick-Step)	14.07
...	
18. RAFAŁ MAJKA	32.39
128. STANISŁAW ANIOŁKOWSKI	3:47.12

Niełatwe zadanie

To wybitnie trudny rok dla organizatora - przyznał dyrektor wyścigu dookoła Polski, Czesław Lang.

Tour de Pologne, największy wyścig kolarski w tej części Europy rozpocznie się następnego dnia po zakończeniu igrzysk olimpijskich w Paryżu, 12 sierpnia we Wrocławiu. Zwycięzcę zawodów poznamy 18 sierpnia w Krakowie.

- Mija 31 lat, od kiedy organizuję Tour de Pologne, ale chyba jeszcze tak ciężko nie było jak w tym roku. Ponakładało się wiele rzeczy: igrzyska olimpijskie, wybory parlamentarne, a przede wszystkim wybory samorządowe, które zablokowały wszystko - powiedział Czesław Lang.

Dyrektor wyścigu wyjaśnił, że czas wyborczy nie sprzyjał podejmowaniu decyzji, jeśli chodzi o zgodę gospodarzy poszczególnych miejscowości na przejazd kolarzy, a ponadto... wiele dróg jest remontowanych. - Jeździłem do burmistrzów, do prezydentów miasta i często słyszałem: Okej, jesteśmy zainteresowani, ale decyzję możemy podjąć po wyborach. Dopiero teraz domykamy pewne sprawy, które zaczęliśmy już robić. Nie jest łatwo. Przejeżdżam dziennie 300 kilometrów, mam pięć spotkań i nie może mnie nikt wyręczyć. To są spotkania nie tylko z prezydentami miast, gdzie będzie start albo meta etapu. Odwiedzam też mniejsze miejscowości, gdzie na przykład wyznaczona ma być lotna premia. Bardzo, bardzo trudny rok - podkreślił.

W związku z tymi trudnościami Lang wstępnie planuje prezentację całej trasy dopiero na 19 lipca. - Są koncepcje, założenia, wstępne zgody, ale dopinanie szczegółów jeszcze trochę potrwa. W tym tygodniu i w następnym jestem w ciągłej podróży – dodał. Na razie wiadomo, że kolarze pojadą z Dolnego Śląska przez Opolszczyznę do Krakowa. Czy to będzie trasa marzeń Langa?

- Tak. Trasa będzie bardzo trudna. Popsuło mi trochę koncepcję to, że wszyscy przed wyborami wzięli się za remont dróg. Wszystkie drogi rozkopane, szczególnie w Karpaczu. Za rok będzie pięknie. Już planuję trasę w 2025 roku, z Karpaczem i zjazdem z Sosnówki, który do tej pory nie był możliwy. Nie ukrywam, że być może pojedziemy do Niemiec. Dwa regiony są zainteresowane: Brandenburgia i Saksonia. 3 czerwca mam w tej sprawie spotkanie w Poczdamie. Nasi partnerzy, tak jak firma Decathlon, która będzie sponsorem klasyfikacji drużynowej Tour de Pologne, zdają sobie sprawę z tego, że nasz wyścig daje możliwość promowania się, pokazania. Niemcy sami się zwrócili do nas przez polską ambasadę w Berlinie. Na razie trwają rozmowy – zaznaczył.

Nie tylko Tour de Pologne zajmuje Langa. W niedzielę w Arłamowie na Podkarpaciu zakończyła się inna impreza przezeń organizowana – Orlen Wyścig Narodów dla kolarzy do lat 23, z której jest bardzo zadowolony. Natomiast pod koniec czerwca Lang zorganizuje na Lubelszczyźnie trzyetapowy Tour de Pologne kobiet, który powraca po ośmioletniej przerwie. - Jest wielkie zainteresowanie tym wyścigiem. Dwa, trzy dni po tym, jak ogłosiliśmy, że zorganizujemy wyścig dla pań, mieliśmy prawie 50 chętnych ekip. Na pewno będzie bardzo dobra obsada. Być może w reprezentacji Polski wystartuje Kasia Niewiadoma, jeśli będzie taka możliwość, może siostry Pikulik. To bardzo dobry termin: krótki wyścig tuż przed igrzyskami i na przepięknych trasach - podsumował Czesław Lang.

Rozmawiał
Artur Filipiuk (PAP)

Kolekcjonerzy złota

Francuz Joris Daudet oraz Amerykanka Alise Willoughby zdobyli w Rock Hill w Południowej Karolinie złote medale mistrzostw świata na rowerach BMX. Polacy nie startowali.

W rywalizacji kobiet Willoughby, srebrna medalistka olimpijska z Rio de Janeiro (2016), która przed rokiem w MŚ w Glasgow była trzecia, wyprzedziła w finale Szwajcarkę Zoe Claessens o 0,373 s i swoją rodaczkę Daleny Vaughn – 1,009. 33-letnia Amerykanka dorzuciła tym samym kolejne złoto światowego czempionatu do tytułów z 2017 i 2019 roku.

W zawodach mężczyzn zwyciężył także 33-letni Daudet, który przed rokiem również był trzeci. Francuz wyprzedził złotego medalistę igrzysk w Tokio (2021) Holendra Nieka Kimmanna o 0,565 s oraz rodaka Andre Sylvaina o 1,129. Kolekcję mistrzowskich tytułów Daudet powiększył do czterech. Wcześniej wygrywał w Kopenhadze (2011), Zolder (2015) i Medellin (2016).